



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 1⁰, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz pełnym lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Długi społeczne.

Istnieje utarta zasada, zdanie, że tylko ten ma prawo do jakiejś pracy czy przedsięwzięcia, kto je wysiłkiem własnej woli zdobył. „Bez pracy niema kołaczy” — mówi stare przysłowie. Każdy, że tak rzeknę, przychód siły, wymaga odpowiedniego siły, czyli pracy rozchodu.

Codziennie, korzystając ze zbiorowej pracy ludzi, żyjących z nami i przed nami, odbieramy wielką pełnię dobrodziejstw, nie odwzajemniając się im na razie. Pnąc się np. po dobrze ubitej drodze na wysoką górę, jakim odwzajemnieniem pracy odnosimy się do tysięcy robotników, którzy w pocie ciężkiego mokołu ową drogę usypywali? Jakie odwzajemnienie niesiemy ludziom uczonym, z których nauki korzystamy, a których istnienie zawdzięczamy setkom lat zbiorowej pracy? A więc rościmy prawo do dziedziczenia wyników zbiorowych usiłowań poprzedników naszych, nie dając od siebie nic w zamian.

Zaprzeczyć temu faktowi jest rzeczą bynajmniej nie łatwą. Przyznajmy, że nie możemy nawet zdawać sobie sprawy w jaki sposób, w jakiej mierze wyzyskujemy olbrzymią pracę poprzedzającego nas świata. Na każdym słowie, które wypowiadamy, na każdym piśmie, które czytamy, na każdym przedmiocie, który bierzemy do ręki, na każdym obyczajach, który uprawiamy, na każdym prawie, z którego korzystamy, na wszystkim ciągną: znoj, wysiłek, pot, często i krew z trudem walczących i pracujących sił ludzkości, a cóż człowiek pojedynczy przynosi w zamian za te niezliczone dobrodziejstwa i dary, któremi go obsypuje praca milionów?

Pytanie to, postawione jasno i jasno, głęboko zrozumiane, wywołuje w człowieku społecznie czującym wrażenie zawstydzania. Dziwne to zawstydzanie powstaje przez olbrzymi przedział pomiędzy rzeczywistością a ideałem. Ideałem jest, aby człowiek, wedle sił swoich to odrobił, oddał, co od innych, pracujących przed nim i z nim razem, otrzymał. Atoli rzeczywistość przeczy jaskrawo takiemu ideal-

nemu podziałowi i wobec takiego zaprzeczenia pozostaje szukanie dróg i środków ku ideałowi zdążających, albowiem w zbliżeniu się do ideału leży już część spełnienia onego.

Człowiek przychodzi na świat olbrzymim obciążony rachunkiem, — długami dziedzicznymi, kapitałem zakładowym, z dobrych uczynków powstałym, nagromadzonym przez historię i społeczne, niestartej doniosłości czyny. Rachunek rośnie z każdą, przepływającą epoką, rośnie i utrwala się. W miarę coraz szerszej, dalszej wymiany życiowych bogactw, obejmuje coraz dalszy krąg ludzi, w miarę zaś oddalania się od danej epoki, ciągnie za sobą coraz dłuższy łańcuch pokoleń. Etycznym ideałem jest ów rachunek olbrzymi przez wzajemną wymianę pracy wyrównać, lecz wyrównanie staje się z pokolenia w pokolenie coraz bardziej trudne. Wymagania w kierunku pracy społecznej „wzrastają z roku na rok. Rozwój potrzeb, dążeń ludzkości, każdej nadchodzącej epoce stawia nowe cele. Obowiązek każdego pojedynczego człowieka aby pracować wedle sił swoich, dla swych socjalnych współbraci i swoich następców, t. j. pracować nad tem, aby każdą zdobycz na drodze postępu, podnoszącego dobro społeczeństwa utrwaląc, rozszerzać, przekazywać dalej, wydaje się z punktu widzenia obowiązków człowieka, nie jako zasługa, lecz poprostu jako przykazanie sprawiedliwości, jako akt wdzięczności tego, kto dowolnie używa dobrodziejstw, przekazanych mu przez tych, którzy przed nim byli. Człowiek musi tę wdzięczność w głębi swej duszy odczuwać prawdziwie, a dopomoże mu ona do wytrwania w społecznej pracy. W potrzebie, w pragnieniu, zrzucenia z siebie, wyładowania, ciężaru zobowiązań względem społeczeństwa, leży ogromny bodziec ku postępowej i owocnej pracy.

Rozwój etyki uczuć społecznych może dokazać wielkiego zaiste dzieła, jeśli zdoła obudzić ową potrzebę osobistego spłacania długów socjalnych jeszcze w młodocianych, kształcących się umysłach.

Ku rozbudzeniu owej etycznej potrzeby posłużyć może szereg pedagogicznych, rozumnych przyczynków i tak np.:—zestawienie inteligencji i usiłowań w dążeniu do jakiegoś

celu—wyradza czyn. Wniknienie w społeczną wartość czynu i nawyk w spełnianiu go, wytworzą zazwyczaj łatwość spełniania obowiązków.

Jeżeli chcemy etykę wdzięczności i w tym duchu dążenia rozbudzić w młodocianym umyśle, musimy przedewszystkiem wykazać mu ową potrzebę socjalnej wdzięczności, jako uczucie wprost zwykłe, przyrodzone, naturalne. Tu jednak należy być ostrożnym. Wrodzone człowiekowi ciągnięcie do naśladownictwa otaczającego go świata, jest bezwartościowe, czyni go leniwym, działa na ducha wprost usypiająco. Pietyzm, jaki dzieci przechowują względem rodziców, nauczycieli, przełożonych, starszych i t. p., musi być, że tak powiem, produkcyjny, t. j. nie powinien zasadzać się na tem, żeby rodziców i starszych we wszystkim naśladować, lecz raczej powinien być niejako dalszym ciągiem, dalszym dopełnieniem i pomnożeniem tego, co rodzice zdobyli na etycznym, społecznym czy intelektualnym polu. Prawdziwy, twórczy pietyzm pracuje nad tem, żeby iść dalej, niż poprzednie pokolenia, nie zasklepia się jedynie w biernym uznaniu tego co widzi i w czci dla przeszłości.

Jeśli młodociany umysł nauczy się taką wdzięczność odczuwać dla najbliższych mu osób, to jednocześnie powinien nauczyć się rozumieć, że obowiązkiem dalszej wdzięczności, na sprawiedliwości opartej, jest praca na drodze podniesienia ducha i dobrobytu społeczeństwa, ludzkości. Dzieciom przy kształceniu ich, rozwijaniu, należy *umieć* powiedzieć, jak olbrzymi świat istot ludzkich i w jakim znoju wielkim pracował nad wytworzeniem tego, z czego ono i my wszyscy dziś korzystamy. Nie przez ambycję, ale przez głęboko zasiane poczucie sprawiedliwości powinni ludzie łączyć wspólne siły dla wspólnego dobra. Przychodzimy na świat obciążeni świętym długiem,—pracujmy, aby ciężar z siebie zrzucić i schodzić ze świata, jako wierzyciele naszych następców.

Zofia Seidlerowa.



MARYAN GAWALEWICZ.

BEZ CELU.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

VII.

Po tygodniu zaledwie dowiedział się Le-bicki o powrocie Sewerki, ale samej; przyjechała do Warszawy, pozostawiając Bronię z siostrzeńcem na wsi.

Zmieniona była, małowówna, unikała widocznie sprawy swego niespodzianego wyjazdu i zachowywała się wobec Sokolika i Rózi jakoś tajemniczo, dając na ich zapytania odpowiedzi wymijające, niepewne, albo zagadywała umyślnie czem innym, byle się nie tłómaczyć.

Wbrew swojemu zwyczajowi, przychodziła teraz na krótko, wpadała, jak po ogień, i pod pozorem, że ma pilne zajęcia, wymykała się szybko, przyrzekając na dłuższą pogawędkę zajść kiedy indziej.

Dowmuntowi, który coś zmiarkowawszy, próbował ją wybadywać zręcznie, odpowiadała na wszystko:

— Tak mi wypadło. Cóż to, nie wolno mi wyjechać kiedy mi się podoba i dokąd chcę?... Wyjechałam, przyjechałam i jestem; reszta nikogo nie obchodzi.

— Racya!... ale Niewiasto, coś uczyniła z siostrą swoją?... oto pytanie!...

— Co miałam zrobić?... przecież jej głowy nie urwałam.

— Kto wie?... i to możliwe.

— E, bajdura z was!...

— Bajdura bajdurą, a zbrodnia zbrodnią— mówił niby w żartobliwym tonie, — to fakt, że dziewczynka znikła nagle bez śladu i niewiadomo, gdzieście ją utopili, a Sokolik chodzi, jak gromowa chmura.

Zaperzyła się i zawołała:

— Głupstwa gadacie!... co ma Sokolik do

Bronki, a Bronka do niego!... Ja was proszę, abyscie nawet tego rodzaju aluzji nie robili, bo... bo...

— Bo wam na nagniotek sercowy następuję,— zaśmiał się złośliwie, co ją do pasy doprowadziło, ale się pohamowała i rzekła:

— Dużo o to dbam, co wam się zdaje!

Ale po chwili namysłu dodała:

— Bronkę z Jerzykiem wywiozłam na wieś, bo nie mają tu co robić. Ja po całych dniach latam z wywalonym ozorem, a oni muszą w domu siedzieć; niech lepiej użyją świeżego powietrza i wiosny. Zresztą, musi ktoś doglądać sprawy spadkowej po matce, a Bronka jest tam potrzebna.

— Na wsi?

— I na wsi!... cóż to nie wiecie, że mi spadły na głowę i interesa Chronieckich; któż się tem zajmie?... wszystko tylko ja i ja!

Sokolik rzeczywiście chodził posepny i zadumany, jak gromowa chmura; gnębiła go zagadka, której sobie rozwiązać nie umiał.

Nie tylko tajemniczy wyjazd ukochanej bez słowa pożegnania, ale i jej dalsze milczenie niepokoiło go i rozdrażniało.

Mogła była przecież napisać ze wsi i odezwać się; powinna była przeczuć i domyśleć się, że taka rozłąka nagła sprawia mu przykrość, że dla serc kochających tęsknota jest katuszą, a wyczekiwanie bez końca torturą.

Wysłał do niej długi list, pełen czułości i serdecznych wyrzutów, z gorącą prośbą, aby mu wyjawiała powody swego nagłego wyjazdu i milczenia, ale minęło dni kilka znowu, dni długich i chmurnych, a odpowiedź żadna nie nadechodziła.

Przypuszczał, że adres podał niedokładny, więc napisał powtórnie za recepisem i znowu czekać musiał, licząc nieznośne godziny, aż któregoś wieczoru stróż mu oddał liścik upragniony, adresowany ukochaną ręką.

Z bijącym sercem rozerwał kopertę i przeczytał tych kilka słów:

„Zaklinam Was, róbcie tylko swoje i nie pytajcie o nic, i o mnie źle nie myślcie!...

Nie zobaczymy się tak rychło, a może nigdy. Bóg z Wami.“

Było mu tak, jak gdyby go kto obuchem zwałił po głowie; jeszcze mniej rozumiał teraz swą sytuację, jeszcze ciemniejszą wydawała mu się tajemnica tak nagłego zniknięcia Bronki.

To jedno było dlań niewątpliwem, że zaszło coś bardzo ważnego, co ich rozdzieliło, ale co?... napróżno usiłował odgadnąć, a do rozwikłania tego węzła nie mógł mu nikt dopomóc, oprócz tej jednej istoty, która pomocy swej odmawiała.

Zaklinała go, aby nie badał niczego, nie pytał o nic i źle o niej nie myślał.

Ale dlaczego?... dlaczego?... dlaczego?...

Co miały znaczyć jej słowa: „Nie zobaczymy się tak rychło, a może nigdy?...” czyżby to miało być zerwanie?... czy stanęła pomiędzy nimi tak wielka i niezwalczona przeszkoda, że musieli pożegnać się raz na zawsze z nadzieją zbliżenia się do siebie?

A jeśli tak było, to z czyjej winy to się stało?... przecież nie z jego, który po raz pierwszy w życiu kochał całą siłą świeżej, młodzieńczej, czystej miłości.

Kochał i czuł, że był tak samo kochany, a jednak...

Jednak coś, czego oni oboje ani przewidywać, ani spodziewać się nie mogli, zwaliło się nagle pomiędzy nich, niby śnieżna lawina na okwieconą łąkę krótkiego ich szczęścia i marzeń.

Chodził, jak rozbitek na bezludnem wybrzeżu i nie umiał sobie poradzić ze swoją troską.

Siostra obserwowała go z pod oka i trapiła się jego zmizerowanym wyglądem; przeczuwała, że ukrywa przed nią jakieś ciężkie zmartwienie, które nurtowało mu duszę, ale nie przypuszczała nawet, że zachodzą tu jakie powody osobiste.

Domyślała się, że sprawy ogólne, niesnaski i rozłam w partyi, niepokój o los Chronieckich i komplikacje, wywoływane ich śledztwem, a każdej chwili zagrażające

Z doby obecnej.



Sezon warszawski.— Zastój w prasie polskiej.— Ze wspomnień niedawnej przeszłości.— Apatya dziennikarska.— Królestwo bezmyślności.— O emetyku, soku malinowym i naszych organach słów kilkoro.— Nasi wydawcy.— Czy książek nie sprzedają, czy też ich nie kupują?— Bioskopy, kot i żrebaki.— *Signum temporis*.— Synteza chwili.— Jubileusz Pogotowia Ratunkowego.

Zgodnie z wszelkimi przepisami kalendarza dziennikarskiego w Warszawie powinien był się już rozpocząć „sezon...“ W istocie, urlupy letnie skończone, zajęcia szkolne w pełnym biegu, wyścigi już się rozpoczęły na polu Mokotowskim, a redakcyje pism znalazły się na progu kwartału IV-go, tego znamienego kwartału, który stanowi prawie o powodzeniu pisma w ciągu całego roku następnego...

Innych lat okres ten znamionował niebywały wzrost gorączki we wszelkich dziedzi-

nach życia naszego miasta i kraju. Wszystko rwało się do życia, do ruchu, do okazałości. Nawet stare kanapy w salonach wyzwalano z niewoli dławiących je opon letnich, „co to od moli i od kurzu“ chronić zwykły wiekiem szarpnięte pokrycia; lakierowano dorożki, ba! myto nawet szyby w brudnych tramwajach warszawskich.

Ale główny ruch koncentrował się w redakcyach. Wydawcy łamali sobie głowy nad wynalezieniem nowych sił pisarskich, aby z nadejściem jesiennej kampanii prasowej szumnie obwieścić czytelnikom: Głośny, znany, znakomity i t. d., świeżo powiększył zastęp naszych współpracowników i objął dział ..., którego uznając szczególną ważność, postanowiliśmy tym sposobem postawić na stopie europejskiej... Za nową, sensacyjną, możliwie historyczną, albo w ostateczności „spółczesną“ powieścią do odcinka gazety, odbywał się już istny pościg. U „znanych“ pisarzy obrywano dzwonki, w salonach oczekiwano jednocześnie dwóch, trzech wydawców, li-

cytujących się wzajemnie *in plus* do granic możliwych.

A dziś?—Cisza! Przeróżająca cisza! Pisma nasze wiodą beżpłciowy żywot, pełen apatycznej ospałości. Wegetują z dnia na dzień. Przypominają owego konia, który jeździł kiedyś w zaprzęgu i widywaliśmy go w Alejach Ujazdowskich, a dziś okaleczony, wychudzony, wynędzniały, z rozszerzonymi nogami, ciągnie wózek piaskarza, rad, że jeszcze żyje, lecz dychawica dokucza mu coraz boleśniej.

Naczytawszy się pism zagranicznych, nie mówimy już o organach wielkich narodów: Anglików, Niemców, Francuzów, ale choćby tylko Czechów, Węgrów, Finnów, doprawdy ze wstydem bierze się do ręki lichy, ubogi dziennik warszawski.

Zaiste, coś się popsulo w naszym państwie „szóstem.“ Znaleźliśmy się w labiryncie jakowychś nie rozwiązanych zagadek. Wszakże przeżywaliśmy gorsze pod względem wolności słowa, czasy, a mieliśmy organy znacznie tętsze. Ogólnie biorąc, pisma nasze miały

wszystkim, którzy w bliższych z nimi pozostawali stosunkach, wpływają tak niekorzystnie na usposobienie jej brata.

Starala się dodawać mu pod tym względem otuchy i pocieszać go, próbując zarazem wybadać, czy może nie zatrważa go i nie przygnębia myśl o własnej przyszłości.

— Możebyś ty, Mundku, chciał wyjechać na jakiś czas?—pytała go;— teraz zanosi się na jakąś wielką burzę i jakaś katastrofa wisi w powietrzu. Wszyscy chodzą tacy powarzeni, tacy zdenerwowani!... Mnie się aż serce kraje, kiedy patrzę na ciebie. Co mojemu synkowi dolega?... co się stało?... czemu mi nie powiesz wszystkiego, dlaczego się nie zwierzysz, jak dawniej?... Przecie ty wiesz, że na całym świecie nie masz dla siebie drugiej duszy tak życzliwej i tak oddanej, jak moja!

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła jego głowę do swojej piersi z jakąś macierzyńską czułością, a on zacisnął powieki mocno, aby powstrzymać łzy, które pod niemi wzbierały i szepnął po raz pierwszy cichym, żalonym głosem, jakby się skarżył przed nią:

— Tak mi źle, Róziu!... tak mi źle!

Przytulony do jej piersi, słyszał, jak jej serce biło mocno i szybko, i całował jej ręce, powtarzając:

— Żebyś ty wiedziała wszystko, żebyś wiedziała!...

— A czemu nie wiem?... czemu nie wiem?— spytała go z ciepłym, łagodnym wyrzutem kochającej istoty, przyciskając usta do jego rozpalonej głowy.

I wówczas dopiero wyznał jej nareszcie swą tajemnicę, swój niepokój, swoją tęsknotę i opowiedział całą historję swojej miłości.

Słuchała go uważnie, z zajęciem, nie przerywając ani jednym słowem, ale twarz jej rozpogadzał słodki uśmiech jakiegoś rozradowania cichego i błogiej zadumy.

Kiedy skończył, ucałowała go w szerokie czoło i rzekła:

— I to wszystko?... to tylko tyle?... nie więcej?... Ach, ty nieznośny chłopcze, nie mogłeś to mi wcześniej wypowiedzieć się z tego?... Dobrze wam tak!... bardzo dobrze, kiedy nie mieliście oboje zaufania do mnie!... Przecież ja powinnam była pierwsza wiedzieć o tem od razu, jak matka, nie tylko jak siostra; to mi się należało od was obojga.

Uśmiechała się, jak słonko wiosenne, które w tej chwili przez białe firanki w oknie świeciło im na twarz i złote błyski wrzucało do pokoju.

Wzięła go za głowę pieściwemi rękoma i rozpromieniona cała, patrząc mu w wilgotne i smętne oczy, zawołała:

— A wiesz?... wiesz, co ci teraz powiem?... ja się od dawna domyślałam tego; ja to zaraz zauważyłam po tobie i po niej. Mnie przecucie szeptało cichuteńko, cichutko, że wy się pokochacie, i ja się tak cieszyłam, tak cieszyłam tem, że aż mi serce skakało z radości, ale nie chciałam się zdradzić przed wami, tylko czekałam i czekałam, aż mi to sami powiecie, brzydale jakie!...

Potem go zaciągnęła przed łóżko swoje, nad którym wisiała fotografia matki nieboszczki i śmiejąc się uszczęśliwiona, wołała:

— Chodź tu, chodź do mamy i powiedz jej, jaki z ciebie dobry braciszek!... O widzi mama, ten brzydki chłopak zakochał się w Bronce i dusił to w sobie tyle czasu, a swojej Rózi ani słówka nie pisał, aż dopiero teraz, kiedy go niepocziwe dziewczysko porzuciło!... Prawda, mamó, że dobrze zrobiła? Ale my to naprawimy, my się dowiemy o wszystkim i wyswatamy ich w końcu, kiedy się tak bardzo kochają smarkacze!

Jej dobry humor i wesolość dodały mu otuchy; pocałunki i słowa siostry rozchmurzyły mu czoło po raz pierwszy od tyłu dni, nowa nadzieja wstąpiła uuu w serce, tem bardziej, gdy się Rózia podjęła wybadać „tę okropną tajemnicę“ i przyrzekła pomówić z Sewerką, a odtąd działać, jako popowiernica ich dwojga.

— Et, to pewnie jakieś głupstewko—uspakajala go pocziwie,— a ty sobie Bóg wie co za straszną tragedję wyobrażasz!... Wstydz się, dzieciak jesteś, nie mężczyzna!

Dalszą rozmowę przerwała im niespodzianie wizyta Gwoźdźcia, który przyszedł nieoczekiwany, z miną tajemniczą i skrepowany widocznie obecnością Rózi, zaciągnął Edmunda do przedpokoju, aby mu powiedzieć:

— Chciałbym z wami pomówić w ważnej sprawie, bez świadków!

— Proszę, jestem na wasze usługi, — odparł.

Gwoździec usta zesnurował i czoło zmarszczył.

— Nie jesteście sami teraz; może mi oznaczycie inną godzinę?... sprawa ważna, powtarzam, dotycząca tylko nas dwóch; wymaga absolutnej dyskrecyi.

Podkreślił te słowa wymownym spojrzeniem i niższym głosem dodał:

— Sprawa nie cierpiąca zwłoki!...

— W takim razie, proszę, wejdźcie do pokoju; ja siostrę zaraz wyprawię z domu,— rzekł z ożywioną gotowością Sokolik i poszedł szepnąć kilka słów Rózi, która zarzuciła okrycie i uściśnawszy bratu rękę, wyszła ze słowami:

— Pójdę do Sewerki.

Dwaj młodzi ludzie zostali sami.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z niedrukowanych poezyi Karola Szajnochy.

ŻEGLARZ.



Stary ja żeglarz! Śród fal i burz
Steralem lata i serce!

I nieraz na dnie tonalem już
W wałów i uczuć rozterce...

mniej prenumeratorów (wzrost czytelnictwa i wzrost ludności), a wydawcy pomimo tego nie narzekali w tym stopniu, co teraz, na brak poparcia. Ale, prawda, może za to było więcej ambicyi wydawniczej, może też obawiano się bardziej, że złe pismo nie pójdzie, upadnie...

Ostatnie tymczasem, niestety, doświadczenia wydawców przekonać musiały rzekomo, że im pismo głupsze, tem lepiej się opłaca, im zaś poważniejsze i górujące poziomem — tem więcej do niego dopłacać należy. Zakrawające na paradoks doświadczenie to, o zgrozo, w praktyce okazuje się jednak autentycznym, i dlatego podobno, na wyścigi, jedno pismo za drugim spieszy na manowce, dolewa do treści coraz więcej emetyku, do kałamarzy zaś w redakcyach zamiast atramentu leje się sok malinowy, a autorom rozdaje się przy pisaniu oryginalny, zagraniczny „crème de vanille“, aby zapijając słodki nektar, jak najśłodziej i jak najmdlej pisano...

Temu to głównie mamy do zawdzięczenia

upadek prasy warszawskiej, gustom publiczności obecnej możemy też dziękować, że kultura nasza etyczna i pisarska zamiast iść naprzód—cofa się, zamiast się rozwijać—upada.

Nie daleko od właścicieli naszych pism codziennych odbiegają i wydawcy książek polskich.

Przyniesć do wydawcy i zaofiarować wydanie tomu jakich silnych, nowych, świeżych poezyi — jak konstatuje w „Nowej Gazecie“ wytworny i subtelny krytyk literacki, Jan Lorentowicz,— znaczy narazić się nie tylko na odmowę, ale samą propozycję nakładca uważać będzie za „osobistą urażę...“ W dziale książek nie drukuje się też u nas prawie nic.

Stajesz przed oknem księgarni warszawskiej i widzisz te same tytuły, te same okładki, jakie na słońcu blakły przez całą wiosnę i lato.

Smutny stan rzeczy, Ale na usprawiedliwienie księgarzy powiedzmy, że znać niema zapotrzebowania na dzieła, skoro ich nie zao-

fiarowują publiczności. Stare to prawo ekonomiczne. Niema podaży bez popytu. Z drugiej jednak strony nikt książki nie kupi, jeśli kto jej nie wydrukaje, nie odda do handlu...

Ogólne wyczerpanie, zdenerwowanie, nie mało przyczynia się do tych ogólnie nienormalnych warunków, do powszechnej apatyj. W społeczeństwie naszym nastąpiło znużenie. Ale w tem może i nie dziwnego. Przeżyliśmy zbyt wiele w ciągu ostatnich trzech lat, abysmy nerwy nasze utrzymywać umieli w niesłabnącem naprężeniu. Nastąpiło omdlenie fizyczne. Nieprawidłowość funkcji ciała odzywa się i na duchu naszym. Ogół nasz w tej chwili nie może myśli zebrać, nie stać go na czytanie poważne, nie może nawet w teatrze wysłuchać poważnej sztuki, wszyscy szukają wypoczynku, a wypoczynek często, a nawet zawsze, łączy się z niefunkcjonowaniem mózgu, dlatego najwięcej szans powodzenia ma u nas — bezmyślność.

Dlatego w Warszawie dziś świecą pustkami przybytki sztuki poważnej, niepowodze-

Stary ja żeglarz — i wszystkie znam,
Jakie na ziemi tam morza!

I w których perły, a w których szlam
I kędy port a bezdroża!

I znam to Białe — niewinnych lat,
Z odblaskiem niebios w swem łonie...

I znam to Czarne — bólów i strat,
Żalobne rozbitków tonie...

A i Czerwone — ognia i krwi!
Nie obce mojej też łodzi!

I jużem z wszystkich słonych jak lzy
O łzawej chłonał powodzi...

Toć znam i syren pokuśny ród,
Ich wdzięki, psoty i czary...

Ale się żadnych nie lękam psot,
Bo życie mi nie do pary...

Więc zdala od nich, bezpiecznie już
Żeglarskie wiedzie mię zorze!

I hej już wszystkich zaznawszy mórz,
Na Martwe płynąć mi morze!

K. Szajnocha.

(Ze zbioru autografów Muzeum Pokuckiego im. hr. Starzeńskich w Kołomyi).



J. OKSZA.

ORGANIZACYA I TAKTYKA

RUCHU KOBIECEGO U NAS.

(Referat przygotowany na Zjazd kobiet polskich),



(Dokończenie).

Jak organizacya ruchu kobiecego nie wyrosła jeszcze ze stadyum chaotyczności, a przez motyw polityki w zaczątku została skrzywio-

na, tak i taktyka przedstawia wszelkie wady dorywczości i braku jednolitego planu.

Powszechnem naprzykład jest mniemanie, jakoby kobiety polskie, przez połączenie się z kobietami w innych państwach, mogły zdziałać coś dla swego równouprawnienia.

Zdaje mi się, że przekonanie to jest do pewnego stopnia mylne; niesłuchanie wiele możemy się nauczyć, zwłaszcza pod względem organizacyi, zbliżając się do kobiet innych narodowości, mających wyrobienie w tym kierunku i wyższy poziom kulturalny, możemy dalej zorganizować się porządnie i wziąć udział w ogólnym ruchu, przyłożyć do niego swą cegiełkę, zaznaczyć wspólność idealnych postulatów, ale nie możemy się spodziewać, aby ten związek bezpośrednio dopomógł nam do „zdobycia praw.“ Nie żyjemy ani w Nowej Zelandyi — angielskiej kolonii, czyniącej doświadczenia postępowe, ani w Finlandyi, kraju demokratycznym, o wielkiej kulturze materyjalnej i moralnej. Żyjemy w Polsce — w najstraszniejszych warunkach zgangrenowania przez ucisk, w najgorętszych zapasach politycznych, tak wewnętrznych, jak napierających z góry — związani z losami szamoczącej się w bezsilnych spazmach nadziei i represyi, kolosalnej, a zepsutej od wewnątrz Rosyi. Tak przyczyny, jak warunki pracy kobiet są w Rosyi i u nas inne, niż na Zachodzie. U nas niema właściwie hyperprodukcji inteligencji, wobec całych olbrzymich obszarów wiedzy i techniki niewyzyskanych.

Weźmy choćby dla przykładu konieczność pomocy lekarskiej po wsiach, to widzimy jak wiele miejsca wolnego znalazłoby się dla kobiet, o porządnym wykształceniu zawodowem. Ale właśnie, w skutek tej niskiej kultury całych warstw, w skutek braku podstawowego średniego wykształcenia i trudności zdobycia wiedzy fachowej, tylu mężczyzn i tyle kobiet marnuje się na stanowiskach przypadkowych, do których nie trzeba przygotowania, wyraża się tak liczny proleraryat inteligencji.

Jeżeli więc na Zachodzie idzie już walka

konkurencyjna fachowców i ta konkurencyja zwraca się przeciw kobietom, to u nas — przez podniesienie oświaty i zawodowe wykształcenie możnaby jednak konkurencyi dać obrót zupełnie inny, gdyż obecnie istnieje ona głównie właśnie na stopniach najniższej, machinalnej pracy.

Tak samo jak ekonomiczną stronę ruchu kobiecego, inaczej traktować należy u nas, niż na Zachodzie — i polityczne położenie. Położenie to wielce się różni, jak wspomniałam na początku, jest możliwość nawet prędszego równouprawnienia, o ileby partya wolności ludu odniosła zwycięstwo; ale nie można przypuszczać, aby na państwa dzisiejsze internacjonalny ruch kobiecy wywierał jakie wrażenie. Nieporównanie ważniejszym zadaniem ruchu kobiecego byłoby zdobyć w kraju żywioły kobiece obojętne i wręcz wrogie idei równouprawnienia, którym dogadza dotychczasowa bierność i wyzyskiwanie pracy cudzej — takich kobiet są całe zastępy.

Wystarczy przejść w niedzielę od kościoła św. Krzyża ku Wareckiej, wystarczy zajrzeć z Zapolską do mieszkania na Warecką, aby zrozumieć jak element kobiecy pracuje nad utrzymaniem takiego stanu rzeczy, jak wszelkie usiłowania jednostek dla zreformowania stosunków w tym elemencie znajdować będą opór, dopóki go się nie przerobi, nie prze-transformuje. To się powoli dzieje, ale dążąc w kierunku współuczestniczenia mas, musi ruch kobiecy stanąć na gruncie realnym i działać pedagogicznie, z wielkim taktem i umiarkowaniem, muszą stać za nim i z nim zwarte szeregi demokratycznie wykształconych mas ludowych. Tak w Finlandyi.

Inaczej w Galicyi. Tutaj, obecnie sprawa równouprawnienia kobiet jest w tym punkcie dojrzałości, że powinnyby wejść na porządek dzienny. Mimo tego nie jest brana pod uwagę na seryo; całe tłumy kobiet z różnych warstw mają najgłębsze uprzedzenie przeciw rzeczniczkom równouprawnienia politycznego, jak i przeciw samej idei. Jest to ostatecznie

niem cieszą się czytelnicy i biblioteki, ale w zamian pełno, ścisk panuje przy oknach teatru „Nowości,“ niema gdzie pomieścić się w budach jarmarcznych, inaczej zwanych „Iluzjami,“ „Czarami,“ „Bioskopami“ i t. d., gdzie za drogie pieniądze pokazują niktne obrazki, bez treści najczęściej, o co zresztą w tej chwili najwięcej idzie, a publiczność serdecznie się śmieje, kiedy widzi na ekranie kota, ciągnącego za ogon żrebaka, cyklistę przewracającego babę z pakunkami, stróża wysypującego śmiecie na głowę wychodzącego z mieszkania lokatora...

Tematy i miejsce podziwu dla nieletnich dzieci, odpowiadają dziś gustowi najdojrzałszej „szanownej publiczności“ warszawskiej. I te czasy minąć w końcu muszą. Nastanie powrót do równowagi. Bezrobociu rozumów wpierw, czy później, kres położonym będzie. Ale na razie myśl społeczna strajkuje i wszyscy z goryczą wołamy: apatya!

Ze stanu tego nie wyprowadzają nas i blizkie już wybory do trzeciej Dumy państwowej. Któż u nas dziś zajmuje się wyborami?!

A jednak ledwie półtora roku minęło od pierwszych elekcyi, a kilka miesięcy od drugich. Przypomnijmy sobie, co się wówczas działo w Warszawie! Jaka gorączka, jakie napięcie umysłów! Ile przewidywań gorącego niebezpieczeństwa! Pogotowie ratunkowe oczekiwało lada chwila katastrof.

Jedyna to istotnie w stosunkach naszych instytucya, która nigdy nie strejkowała, nigdy nie unikała najgroźniejszych choćby niebezpieczeństw, zawsze wytrwale stojąc na pieczy życia ludzkiego, pielęgnując szczytne hasło samarytańskiej miłości bliźniego.

O Pogotowiu godzi się więcej słów napisać, ile że dzielna, pożyteczna, zasłużona ta instytucya skończyła właśnie niedawno dziesięć lat owocnej pracy w Warszawie, obchodziła dość głośny w tym czasie jubileusz, przez trzy dni zbierać się będą składki na rzecz tego towarzystwa. Instytucya, która w ciągu lat dziesięciu alarmowaną była z górą 85 tysięcy razy i niosła pomoc mieszkańcom w najgroźniejsze nawet dni styczniowe, majowe, czerwcowe, sierpniowe, owe słynne krwawe

dni, nie bacząc na niebezpieczeństwo, na od-ruchy wzbudzonych tłumów, zwracających się w podnieceniu nawet przeciwko karetkom Pogotowia!

Wielka humanitarna instytucya istotnie ma doniosłą kartę w dziejach Warszawy.

Na dzień jubileuszu d-r Józef Zawadzki obecny prezes Pogotowia, skreślił monografię instytucyi, w słowach żywych opisując dokładnie wszystkie znamiennejsze wypadki przeżytej w Warszawie rowolucyi.

Książka ta, to cenny dokument historyczny w rękę dziejopisa, wyborne memorandum w rękę Warszawiaka, który zachowa dla potomności opis owych dni tragicznie przeżytych.

Monografia sprzedawana będzie na rzecz Pogotowia, nie wątpię, że nabędzie ją każdy i ze względu na cel piękny i na materyał, zawarty w ciekawej, krwią pisanej książce.

Stefan Gorski.



w znacznej mierze wynikiem wadliwej taktyki ruchu kobiecego, który opierał się na sojuszu z partją socjalistyczną, a nie pracował nad przygotowaniem społecznym przeciętnych, z średniej sfery kobiet, zrażając je radykalizmem. Obecnie, gdy czas nadszedł—jest tylko sztab z nieliczną gwardją, niema zastępów, niema armii któraby chciała „prawa zdobywać.“

U nas i materiał „szerokich warstw“ jest podatniejszy i czasu jeszcze wiele na przygotowanie tego momentu, w którym kobiety skutecznie będą mogły wystąpić zwartą ligą o równy udział w prawach i obowiązkach obywatelskich.

Nie chodzi mi tutaj o poruszenie raz jeszcze scholastycznego mojem zdaniem sporu, co ma być pierwaj, „czy prawa, czy obowiązki,“ sądzę, że ta jałowa kwestya dostatecznie już wszystkich znudziła, pragnę tylko właśnie z dziedziny teoretycznych ogólników przejść do postawienia rzeczy na tle realnem. Kobiety polskie mają niewątpliwie ogromnie dużo poczucia obywatelskiego i wykonywują jako jednostki bardzo gorliwie, porządnie, z prawdziwym poświęceniem wiele obowiązków i prac społecznych, a choć dziś, z powodu braku należytej organizacyi, te prace mało dla samego ruchu kobiecego przynoszą korzyści, to jednak sprawiają to, że z działaczkami wybitnymi wszyscy się liczą poważnie, potrzebują ich, powierzają im posterunki odpowiedzialne. Ponieważ u nas bardzo jest wiele do zrobienia, a brak ludzi z odpowiednimi kwalifikacyami, najpewniejszą drogą dla kobiet, pragnących zdobyć prawa, jest zajmowanie placówek wolnych, lub mało uprawianych, wykazanie odpowiednich zdolności, opanowanie pewnej dziedziny.

Na polu wychowawczem mają już kobiety wieloletnie doświadczenie i bardzo wybitną zajmują pozycję; idąc dalej w tym samym kierunku muszą zdobywać to, co im się należy i co społeczeństwu wielki przyniesie pożytek: równouprawnienie w pracy zawodowej, miejsca w radach szkolnych, wpływ na wychowanie tak dziewcząt, jak i chłopców. Wyższe wykształcenie pedagogiczne, które już na specjalnych kursach prowadzone jest celowo i systematycznie, a ma być wzorowe w przyszłym instytucie im. Orzeszkowej, ułatwi to zrównanie, ku któremu tak przez usilną pracę, jak i przez świadome swej wartości wymagania, powinny dążyć obecne i przyszłe neuczycielki.

Druga, niezmiernie ważna dziedzina, niestety, dotąd traktowana po amatorsku, bez właściwego przygotowania, to dziedzina pracy społecznej. Tutaj przede wszystkim chodziłoby o dokładne poznanie z jednej strony tego, co już zrobiono zagranicą, z drugiej—stosunków własnych i materiału, z jakim się ma do czynienia. Nie trzeba bowiem sądzić, że bezkrytyczne przeszczepianie na gruntu nasz, choćby najlepszej instytucyi, powiedzie się i da dobre owoce, jeżeli nie weźmiemy w rachubę warunków lokalnych.

I tutaj zawodowe wykształcenie kobiet, czy to w medycynie, czy w ekonomii politycznej, może oddać ogromne usługi, po za tem jednak dla każdej kobiety inteligentnej jest możność obrania pewnego kierunku i nabycia w nim

biegłości, przez pracę nad sobą i praktykę. Niebezpieczną tylko w tym wypadku jest chęć chwytania wszystkiego, *uprawianie flirtu społecznego*, który kobiety same powinny usilnie tępić, gdyż on w znacznej mierze wzmacnia uprzedzenia, które wyłączają kobietę od pracy społecznej na seryo.

Jak już zaznaczyłam, zależność ekonomiczna kobiety jest jedną z głównych przyczyn, dla których walka o równouprawnienie jest tak słabo prowadzona. W tym kierunku mają kobiety bardzo wiele zdolności, dotąd marnujących się, albo wyzyskiwanych, i dlatego może najważniejszem na dziś zadaniem ruchu kobiecego byłoby zwrócenie uwagi na konieczność ekonomicznego podniesienia pracy kobiecej, przez solidarną pomoc wzajemną, przez ujęcie w ręce kooperatywy spożywczej, przez ulepszenie gospodarstwa domowego i podjęcie wielu, zaniedbanych dotąd gałęzi produkcji.

Wreszcie specjalny nacisk położyć należy na fakt, że praca naukowa kobiet, o ile jest rzeczywiście pewnej miary, przyczynia się ogromnie do zdobycia równouprawnienia i to nie tylko dla jednostki, która się nią odznacza, ale dla ogółu kobiet, pracujących umysłowo. To samo powiedzieć można o pierwszorzędnej pracy literackiej i artystycznej.

Wobec tego za główne zadanie ruchu kobiecego w chwili obecnej uważam postawienie sobie *konkretnych i umiarkowanych żądań*, za któremi oświadczyłyby się całe zastępy *obudzonych do życia obywatelskiego kobiet z różnych sfer społecznych, a także całe zastępy rozumnych, korzyść społeczną mających na względzie mężczyzn*. Żądania te winny mieć przede wszystkim na celu zniesienie utrudnień tak prawnych, jak zwyczajowych, któreby mogły hamować porządną, gruntowną pracę w wymienionych wyżej kierunkach, zmianę nie odpowiadających duchowi czasu ograniczeń prawnych w kodeksie cywilnym, wreszcie dopuszczenie kobiet na równych prawach do pracy w instytucjach samorządu, gdy tylko zostanie zaprowadzony. Ponieważ przy głosowaniu powszechnem wyłączenie kobiet niema żadnego logicznego uzasadnienia, może być i musi ideałem kobiecym w przyszłości pełne, sprawiedliwe równouprawnienie polityczne w państwie istotnie zdemokratyzowanem, w którym parlament zajmuje się *pracą prawodawczą i gospodarstwem krajowem*.

O ile jednak polityka jest pełną zasadzek, grą wrogich żywiołów, niezmiernie trudną sztuką, wymagającą różnych taktycznych środków, a jak w jak w naszym położeniu rzeczą tak strasznie ciężką i odpowiedzialną, kobiety powinny sobie poczytywać to za prawdziwą korzyść, że nie są powołane do mieszania w tym kotle intryg i podstępów. Zaciekłość polityczna, jaką wykazują kobiety, należące „jako wolne słuchaczki“ do różnych partyi, nie pozwala nam wnioskować, jakoby one wnieść mogły element etyczny i przetworzyć skandalicznie zdeprawowane warunki polityki wielkich państw europejskich.

Wszystkie nasze ideały na przyszłość skupiają się jednak w nadziei, że w Polsce—jak dziś w Finlandyi, zdemokratyzowane społeczeństwo obejmie ster swych spraw wewnętrznych, a przygotowane odpowiednią pracą, wykształcone, prawe obywatelki, radzić będą

nad sprawami ogólnego dobra, wespół z mężami zaufania, nie tylko w instytucjach społecznych, ale i w ciałach prawodawczych.



Francuz o poezji polskiej,



(Dokończenie).

I z tego to oczekiwania, w duszy polskiej, przeoranej plugiem cierpień ojczyzny, otchnionej oparami krwi męczeńskiej, zrodził się *Mesyjanizm*, nie jako zjawisko oderwane i samorzutne, lecz w ścisłym stojący związku z rozwojem idei ogólnoeuropejskich.

Oóż ta dziw, że poezya polska, niebosiężnym szybując lotem, nie potrafiła się zadowolić nadzieją przyjscia *Człowieka-Mesyasza?*

Synowie Ojczyzny, bezprzykładnem w dziejach bezprawiem wykreślonej z pomiędzy narodów żyjących, póty z rozpaczą zapytywali Boga i myśli własnej o mąk jej przyczynę, póty w sercach upartą żywili nadzieję, „że Bóg miłosierny, na pyszne pyszny, ale wiernym wierny...“, aż w końcu uwierzyli, że Polska wybranką jest i posłanniczką Bożą, *Narodem-Mesyaszem*, ofiarą całopalną na ołtarzu szczęścia Ludzkości całej...

I wtedy Mickiewicz nazwie Polskę „Chrystusem narodów,“ Słowacki ich Winkelriedem. Krasiński przyrzeka, że ona *umarły* dzisiaj *Archaniol*—będzie „niedzielą wieków na jaw wydobyta... I w pośród mocarstw spodłonego grona nazwą ją ludzie mocarstwem-Aniołem... I ludzkość pójdzie polskich natchnień!...“

Ta mistyczna, z głębi samopoczucia narodowego wyłoniona wiara w przodownictwo narodu, wydać się może obcym samochwalstwem. Jeden nawet z krytyków polskich nazwał ten objaw „aberacyą mesyjaniczną poetów-tułaczy,“ i — nie jedynym jest, podobnie myślącym.

Aberacya zaś to objaw chorobliwy, zбочzenie od stanu normalnego, a zatem — dowód słabości.

Gdy się jednak głębiej w rzecz wnuknie, a zwłaszcza, gdy się rozważy, że pojęcie o stosunku siły narodu do jego sąsiadów jest miarą pojęcia, jakie naród ma o sile własnej, to zrozumieć można z łatwością, dlaczego tak wysoko trzymają o Polsce poeci nasi.

Sile materialnej mocarstw sąsiednich przeciwstawiają oni duchową siłę Polski—tę Siłę niezwalczoną, dzięki której naród przechowuje w głębi swej duszy iskrę życia i nieosłabłą wolę do bytu. Siła to gatunkowo odrębna, lecz wartością społeczną nie niższa od tej, która się zasadza na obszarze granic i liczbie bogactw.

Skoro tedy *jest* Siła, to jest przez to samo—niezatracałna; jako niezatracałna — *ma* rację istnienia; jako mająca rację istnienia — musi też być celową, użyteczność mieć swoją. Wykazywanie zaś tej użyteczności, dążenie do osiągnięcia jej maximum, będzie właśnie—pełnieniem posłannictwa, włożonego na naród przez ducha dziejów. Uświadamiają je sobie tylko jednostki genialne, „geniusze Serca,“ przez miłość na Wieszców narodu wy-

święcone... A takimi właśnie byli wiecy romantycy nasi!

Zkądże bowiem, jeżeli nie z genialnych natchnień serca zaczerpnął Krasiński ową intuicyę historyograficzną, którą autor francuzki tak podziwia w „Nieboskiej,” w „Niedokończonym poemacie?”

O tym ostatnim mówi: „Długi ten poemat mógł być tylko napisany przez człowieka posiadającego niesłychanie rozległą kulturę i wielką moc poetycką: dzieje ludzkości rozwijają się tam w szeregu widzeń pomiędzy którymi jest wiele zdumiewająco pięknych... Światło obiecane Parakleta, który kiedyś słońcem ma być Ludzkości, przenika w głąb najkrwawszych tragedii dziejowych: niema bowiem innej drogi ku przyszłości lepszej, ku szczęśliwości z wszechbraterstwa płynącej, niż odrodzenie się wewnętrzne i wniebowstępnie ducha podniesienie.”

I czemuż, jeśli nie serca geniuszem przepełnił dwudziesto-kilko-letni młodzieniec, „że się w ciemnię zapuszczamy, a nie w zorzę?...“ Dlaczego „on tylko jeden wpadł (po r. 1835) na myśl napisania dramatu na temat walki nieuniknionej, a strasznej, którą toczyć będzie demokracja — i ohydna jej karykatura: demagogia — z przywilejem rodu i pieniądza? Zaiste, błysk to był geniuszu... Słów i ułud nie biorąc za rzeczywistość, pozwał przed sąd swój najpiękniejsze marzenia współczesnych. Ideał nawet przyszłości, przez najszlachetniejszych wysniony — przed trybunałem myśli swojej postawił wszystkie obietnice szczęścia, których czarem poeci i saint-simoniści łudzili drugich i siebie — wszystkie uśmiechy rajów ziemskich i zbudzone uśmiechami temi nadzieje i — cały ten skarbiec wyobraźni wizyonerskich szorstko przeciwstawił rzeczywistości. A w tym młodzieńcu jasnowidzącym-groźną obdarzonym intuicyą, przeczuwającym, że w skutek rewolucyi francuzkiej wybiła już godzina walki klas i rozpocznie się dramat społeczny — w tym młodzieńcu był i spostrzegawca niepospolity. Przenikliwym okiem wpatrzył się w świat, gdzie ucieleśniały się dwie, wrogie sobie, idee czasów nowych, zgłębił dusze tak koryfeuszów, jak i komparsów, zbadał jednych i drugich, przejrzał do dna epokę swoją i wyczytał przyszłość ponurą... I w krwawej błyskawicy jego pióra powstały dnie burzy i grozy... przeleciały wichurą straszliwych wizyi... Ale jasnowidzący i psycholog, był także Krasiński artystą urodzonym, nie cofnął się przed scenami, jakie wywoływał i bez zadrgnienia ręki, w której trzymał pendzel malarza-mistrza, odmalował swą wizyę, jako człowiek, głosowi demona wewnętrznego posłuszny, zmuszony odtworzyć — i drugim pokazać — to, co sam widzi...

A tak postępować, to znaczy — mieć na ludzi i na rzeczy, najrzadszy ze wszystkich, szekspirowski iście pogląd...”

Taką jest entuzjastyczna ocena „Nieboskiej komedyi.” Zdumiewającą jest zaiste u Francuza ta wnikliwość w psychologię przedstawiciela innej rasy i odmiennego światopoglądu — ta umiejętność wytłómaczenia sobie i drugim, że w improwizacyi Konrada „Mickiewicz, otwierając nam wnętrze duszy swojej w chwili właśnie, gdy opanowaną została przez Boga, wystawia niejako na pokaz całą jej pracę we-

wnętrzną, uwidocznia psychikę wszystkich — jacy byli, są i będą — wieszczów, w momencie tworzenia, i daje nam jedyny znany obraz natchnienia, które samo siebie chwytła na gorącym uczynku” — zdumiewającym jest także głębokie i szczere wczucie się w ten, specyficznie polski, stan duszy, z którego począł się mesyanizm.

Ale pomiędzy „idealistą zaciętym,” jak sam siebie Sarrazin nazywa, a śpiewakiem niedoli Wendów niema już tego doskonałego porozumienia się dusz, na które składa się refleksya i żarliwość współczucia religijnego.

Dla jednego Słowackiego ma autor słowa krytyki. Wprawdzie krytyka to, zawsze powinna tej czci pobożnej, do jakiej ma prawo „syn Pieśni — syn królewski,” wprawdzie „Anhelli” i „Król-Duch” ocenione, jak na to zasługują, ale zarzuca Sarrazin poecie, że w „Lilli Wenedzie” niewłaściwie naśladuje Szekspira, wprowadzając do tragedyi w wielkim stylu maryonkowy komizm Ślaza i pajacowską postać św. Gwalberta, że sama Lilla Weneda — zbyt siostrzano jest podobna do Kordelii i Antygony, że gdyby nie reminiscencye Bottoma i Tytania ze „Snu nocy letniej” nie mielibyśmy w „Balladynie” Goplany i Chochlika, że poeta zanadto jest pochopny do tworzenia postaci anormalnych, nad miarę ogromnych i nadnaturalnie strasznych. „I dlatego żadna prawie ze sztuk poety polskiego nie jest w szerokim znaczeniu słowa psychologiczną: nie jest z naturą ludzką w zgodzie.”

A dalej: „Balladyna” i „Lilla Weneda” nie są dla sceny i odegrać się nie dadzą: to nie sztuki, to wielkiej miary sny dramatyczne. Potworność, humor, poetyczność, fantazyja wzajem z sobą splątane, nie tworzą całości jednolitej, żywotnej; kompozycya jest wadliwa i rozstrzelona, a reminiscencyi szekspirowskich naliczyłem aż siedem wyraźnych...”

A choćby i siedemdziesiąt siedem! Co one szkodzić mogą krytykowi, który zawiele ma kultury literackiej i zawiele poczucia poezyi, aby nie przyznać, że „fantazyja Słowackiego jest bez granic, bez kresu i z niczem porównaną być nie może,” że „wiersz Słowackiego błyskawicą przerzyna świat ducha, płomieniem swym wszystko ogarnia, w sercu człowieka pożar nieci i w popioł je obraca,” że „Słowacki był Wieszczem: jednym z wielkiej trójcy poetów polskich, którzy nie dali umilknąć czarodziejskiej pieśni, strzegącej prawd wiekuiowych.

Tak: strzegła ich przez całe przeszło stulecie...

I ustrzegła.

A z nimi razem i duszę polską, dla której pieśń ich stawała się żywiącej wody czarą, zniczowych ogni strażniczką...

A była też pobudką, która śpiącymi targa — zaklęciem, co moc ma nad przyszłością — wskrzeszenia obietnicą i o zmartwychwstanie modlitwą — była protestem i pokory aktem, skargi żalnym lamentem i nadziei okrzykiem tryumfującym...

Widzeniem ks. Piotra i głosem *Umierającego* i Testamentem Juliusza zaklinając „niech żywi nie tracą nadziei,” świadczyła o nieśmiertelności narodu.

Świadczyła także o tym *oporze ducha* „któ-

ry się zaczyna od jęku tylko, a staje się ciałem.”

I ten rys wspólny w twórczości trzech naszych poetów stanowi między nimi podobieństwo — nie wykluczające bynajmniej różnic indywidualnych, bardzo trafnie przez krytyka pojętych i subtelnie i wyraźnie zaznaczonych.

Ze czcią i podziwem to stwierdza, że zasadniczym pieśni ich tonem, najpełniejszym wyrazem tej pracy wewnętrznego, w której duch ich uskrzydlał się i „na czysty brant” cnoty narodowej wypalał, było hasło i przykazanie razem:

„Resurrecturis!”

„Dlaczegoż stworzyli cudną wiersza swego muzykę — woła krytyk-entuzjasta — jeżeli nie dlatego, aby magiczne to słowo jaśniało blaskiem ożywym przed oczyma wpatrzonej i wsłuchanej w nie ojczyzny? Czarownym upajając dźwiękiem, trącało o struny duszy, po nad zgiełkiem i huraganem doczesności dzwoniło tonem, jutrzankowym było wschodem i oknem na świt poranny szeroko rozwartem...”

Taka jednomyślność w wyborze hasła, taki święty w zwolowaniu się niem upór, tam tylko objawić się mogą, gdzie poeci mają prawo zapewnić słuchaczy: „...wierzajcie, zem rymu podpory podłożył sercem...”

Że prawo to mieli poeci nasi, że mieli je nie tylko Trzej Wielcy, ale i inni, ich następcy, o tem głęboko przekonany jest Sarrazin.

I za tę cześć dla Duszy narodu, za ten dla niej pietyzm szlachetny i mądry, za to miłośne wniknięcie w tajniki naszych wier i nadziei — niech mu dzięki będą serdeczne — bo z książki jego nauczy się czytelnik obcy znać nas i dostojność Ideałów naszych szanować.

T. Prażmowska.



Z LATA.



Pisząca obecną notatkę należy do szeregu tych ludzi, którzy są na ogół dla życia usposobieni życzliwie, a ze wszelkich wrażeń, jakich doznają — chcą wyciągnąć *maximum* dobrego.

Oczywiście, wybierając się do Kołobrzega, nie marzyłam o skalistych brzegach Normandyi, lub świetnym Biarritz i potężnie bijących weń falach oceanu. Nie myślałam o uroczej Holandyi i Scheweningen, miejscu, ponad które nie znam nic, coby więcej zadowolnić mogło wymogi kulturalnego umysłu. Ani nawet o Ostendzie czy Blanckenbergu ze ślicznym miastem Bruges, pod bokiem, w którym, jak w szkatule klejnotów arcydzieła średniowiecza nęca. Ani o Danii, z takim cichem Farö, o wiecznie gniewnym morzu po brzegu, ani o bajkowym Helgolandzie, ani o dzikim Bornholmie, — ale o zacisznym kącie, w którymby, systematycznym trybem życia, można leczyć chore nerwy.

I to znalazłam.

Kołobrzeg jest małą, kilkanaście tysięcy ludności mającą miasteczką, w zimie zamarłą.

Ale przez trzy miesiące w nadbrzeżnej dzielnicy wre życie i do tych letnich miesięcy — do starania o przybyłych, wszystko się tu nagina.

Niema wprawdzie dotąd, ani miasto, ani dzielnica kąpielowa kanalizacyj, którą obiecują; to zasadniczy błąd i wielki zarzut. Ale ma wygodne hotele, śliczny nadbrzeżny park, którego różnorodność drzew składa się na istną symfonię barw. Ze smakiem zbudowany Kurhaus z ładną salą koncertową, w której z przyjemnością w dni deszczowe słucha się wcale nie złej muzyki. Mieszkancka czyste i widne. Kuchnie zaopatrzone we wszystkie potrzebne sprzęty gospodarskie dla tych, którzy przyjeżdżają z rodziną. Dostawa produktów tak zorganizowana, że wszystko przynoszą do domów, pieczywo doskonałe, nabiał smaczny. Nawet ci, którzy szukają posiłku w restauracjach, jedzą dobrze, a nie drogo. A że warunki klimatyczne, kąpiele solankowe, które nie świetnie są urządzone, ale nie mniej skuteczne, morskie — a w nich jedyna forma — przyjemnego zetknięcia się... z bałwanami — krzepią zdrowie, więc to sprawia, że wprost instynktownie miejscowość ta wzywa się w człowieka. Jest mu dobrze. W porcie, na wodach rzeki Persanty, oczekują w pogodny dzień statki. Zabierają liczne towarzystwo wesole, rumiane, ze śmiechem... na zabawę. Wracają zwłaszcza kobiety — blade, machające apatycznie rękami, wdychające... po walce z morską chorobą, wywołując dokoła, miast współczucia, wybuchy śmiechu. To też nazajutrz znów przepelniony ludźmi statek wyrusza na pełne fale, a łodzie motorowe, większe i mniejsze, rozwożą po osadach nadbrzeżnych — chciwych wrażeń spacerowiczów.

A byłoby mi tam zupełnie dobrze, ale najniepotrzebniej przed wyjazdem wzięłam „Dzieje Narodu polskiego“, aby przypomnieć sobie koleje tego plata ziemi i zamieszkującej go ludności, bo oto co wyczytałam: „Wspólność kultury szczepy słowiańskie ku sobie zbliżała, lecz nie zdołała wytworzyć z nich większych skupień, t. j. państw. Przyczyniały się do tego cechy charakteru Słowian: niesforność, lenistwo, lekkomyślność, i niedbalstwo o przyszłość. Słowianin niechętnie ulegał władzy, pochopny był do kłótni i psucia jedności. Ocieżyła z natury, z trudnością zdobywał się na energię w działaniu, łatwiej poddawał się apatii. Nie tracił dobrego humoru nawet w nieszczęściu, z powodu czego otrzymał od Niemców nazwę niewolnika tańczącego (Sclavus saltans). Żył z dnia na dzień, nie bacząc na jutro.“

Tak pisze, między innymi Wł. Grabiński, kreśląc pierwotną historię osiedlenia się Słowian, a przypomnienie tego na świeżo, wystarczyło mi zupełnie do zatrucia wprost wakacji.

Bo, jadąc owym najstarszym szlakiem, którego droga łąkami, żyznym polem i lasami wiedzie brzegiem Bałtyku, wyrwało mi się ciągle z piersi westchnienie za tem straconym... którego niema! Bo chodząc po pięknym Gdańsku, z jego starymi świątyniami, domami, na których wiek XV i XVI-ty kute w kamieniu dzieje zamierzonych dni stawia przed wyobraźnią, pod tym Gdańskiem, którego wielkie spichrze nad sławną rzeką mó-

wią o handlu szerokim, którego ratusz ma wspaniałą salę z wizerunkami władców polskich, a drzwi z polskim orłem w brzoźnie kuty, w myśli znów uparcie stało tylko, że ten Gdańsk, tak przecież niedawno, zda się, był lennem miastem króla polskiego!...

Ale naród jest ze szczepu, który „żył z dnia na dzień, nie bacząc na jutro.“

Gdańsk, lennem miastem króla polskiego nie jest. I w ślad za żalem idzie inne uczucie — gorsze.

Kraj ten w kulturze, drogi świetne, gospodarka rolna racjonalna, miasta w ładzie, nadbrzeżne miejsca kąpielowe starannie i wygodnie obmyślane, wsie czyste i zamożne, szkoły w doskonałych budynkach, szpitale schludne i obszerne — lud trzeźwy.

Z tych obserwacji rodzi się owo uczucie gorsze od żalu, a krystalizujące się tak: Niemców musimy dziś niecierpieć, ale uczyć się od nich mamy czego. Uczucie gorsze, bo wypływa z konieczności uznania zalet i mocy — wroga.

I zaraz naszej dziedzicznej niesforności przeciwstawiamy, prawda, że niemal zautomatyzowane, ale uporządkowane szerokie masy, których zbytnia wybujałość nikomu nie przyniosłaby pożytku, organizmowi, na którymby się rozwinęła — szkoda.

Naszemu lenistwu, wielką, niezmordowaną pracę, mówiącą o sobie wszystkim, na czem oko spocznie. Lekkomysłności — statek i zażyłość. Niedbalstwu o przyszłość — skrzętność, oszczędność i zapobiegliwość.

Imponująca praktycznością administracja kraju, komunikacje, mnogość związków i stowarzyszeń — wszystko ciągle poucza, ostrzega, radzi. I myśli te i porównania z naszymi warunkami, zatrzymały mi wszystkie spacer, których całe mile przebiegałam pod cudnym sklepieniem bukowej zieleni, aż ziemia dudniała mi pod nogami.

Co za lasy!

Morze, ze swą wiekuiastą walką w łonie, ze zmiennością, z tą tajemnicą, choć niby otwarte, jest wspaniałe, ale brak mu jednego z największych czarów natury — ciszy.

A w tych lasach taka cisza, kiedy wichry zamilkną, że ani ptak nie świegoce, ani owad nie brzęczy. Ślimak tylko pełza cicho, a wieczorem, nad brzegiem — mewa popłakuje.

A nawet jeśli zaszumi i zaczyna coś opowiadać „dębom dęby, bukom — buki“, to głos ich ma ten urok, że szumi, jakby po polsku. Las wyrósł na Kaszubskiej ziemi.

Nowa troska. Czy owi Kaszubi mówią po polsku, czy rozumieją, czy czują?...

Więc z gąszczu lasów, gdzie wzorowo prowadzone szkółki i zasobne leśniczówki znów wydzwanają mi memento niemieckości, — wychodzę na pola, między gęsto rozsiane folwarki małych właścicieli. Wszędzie domy i stodoły murowane, drzewa owocowe nie strzeżone, bo ich nikt nie okrada, a już wprost w dumienie wprowadza mnie głos telefonu, który z takiej stodoły wypadł raz wprost na mnie. Towarzystwo nasze się podzieliło. Jedni jechali wodą, drudzy łądem — do tej samej miejscowości. Ale motor się nie zatrzymał i oto z dalszej stacyi telefonują od naszego towarzystwa, telefonują w szczerej wsi,

adresowany do tyłu i tyłu pań — z tyloma dziećmi... Trafiał.

I tak błądząc po kraju — trafiam na rybacką wieś czysto kaszubską, gdzie i mówią i rozumieją po polsku. A czy czują?

Mnie się zdaje, że tak samo, jak te drzewa w lesie, co tak mówią — jak mówi ziemia, na której wyrosły, tak samo oni mówią po polsku. Ale czemu tak, a nie inaczej, czemu by nie po niemiecku, z tego sprawy sobie nie zdają.

Pan Bóg polską mowę rozumie, bo ksiądz naucza po polsku i pacierz polski, i książka modlitewna polska. Więc matka uczy dziecko i mówi i czytać po polsku. Ojciec marynarz, zapomina mowy swej na okręcie, syn w służbie wojskowej, a dzieci uczy szkoła niemiecka. Ale matka w rodzinie czuwa, żeby z Panem Bogiem zawsze się dobrze porozumieć mogło jej gniazdo — więc z matką, jak w kościele, wszyscy mówią po polsku.

Syn zapomni — ale córka swego syna znów uaczy. Nie wiele wrażeń w życiu miałam również silnych, jak te, których doznałam kiedyś w Chełmie.

Stoi tam wspaniała, wyłożona, widna o mile cała na okolicę — cerkiew na wzgórzu. Pod jej skrzydłami, jak długi szary gad z zielonym grzbietem budynek, to zdawna seminarium nauczycielskie.

A kościół — w dole.

W Niedzielę lud ciągnie doń wszystkimi drogami. A kiedy zmówi głośno pacierz za księdzem, a potem, przed rozejściem się padnie na kolana i, jak jedną, setkami piersi wołać pocznie: „Wielki Boże, Wielki Mocny... zmiłuj się nad nami,“ to głos taki rozejdzie się daleko, zabrzmi mocno i nie łatwo go zgłuszyć.

Na Kaszubach niema uświadomienia odrębności narodowej, mało jest inteligencji. Jest lud pracą zeznojony, praktycznym życiem pochłonięty, ale jest pacierz, są kościoły, a w rodzinie jest matka, która pamięta, że Bóg rozumie ich tylko po polsku.

I mimo wielkie chmurne myśli, dobrze mi było na tem Pomorzu, choć raz jeszcze stwierdziłam, że na całym świecie, w każdym jego kącie, ludzie gospodarzący krajem robią wszystko, co można, żeby życie ułatwić, u nas tylko robi się wszystko skrzętnie, aby je utrudnić.

Ale i to nas nie zasmuca znać do głębi, boć jesteśmy ze szczepu, który „nie tracił dobrego humoru nawet w nieszczęściu, z powodu czego otrzymał od Niemców nazwę „sclavus saltans.“

Więc Niemiec, który w tym roku odmówił w Kołobrzegu pozwolenia na „bał polski,“ musiał dobrze się dziwić i mimo wszystko, myśleć: zkaż, komu i w jakiej to komórce mózgu powstać mogła myśl urzędzenia, właśnie obok Swinemünde i Marienburga, tańeczaej zabawy — polskiej.

I nie pozwolił, bo miał rozum.

Bo na falach Bałtyku kołysały się wtedy dwa jachty, dwu potęg ziemskich, a te fale, dnia tego, nam Polakom nasłuchującym żalotne tylko podawały szmery, a beztroskie niebo w myślach naszych nie miało dnia tego harmonijnych odbłasków. Żaden jasny promień w tym dniu nie gościł w naszych duszach,

w jakiejś nieokreślonej byliśmy obawie, mimo, że muzyki grzmiały, że barwne flagi powiewały, że głośnie hurra!... rozlegało się dookoła, że działa tryumfem huczały.

To też poruszana niejednokrotnie kwestya, która zupełnie naturalnie niepokoi sumienia—czy jeździć do Niemców nam, których bracia ponoszą klęski ślepego fanatyzmu hakaty, mnie osobiście takby słu przedstawiła: Nie z kufkami pełnymi strojów, nie dla dekorowania sobą sal kasynowych, ale jeździć komu trzeba—aby przywozić zdrowie i uczyć się porządku i rozumu.

Józefowa Kotarbińska.



DLACZEGO?

Słońce od zachodu
Luną purpurową
Ściele w głąb ogrodu
Mgłę złoto-różową.

Do snu — drzew ramiona
Ptasząt rój kołyszą —
Bądź błogosławiona
Wiosno z leśną ciszą!...

Liścia szmer i wody
Pieśń to ciszy błoga —
Wysłuchan w głos przyrody,
Czujesz wielkość Boga!...

Ach... gdy cudy swemi
Wielki Bóg jest z nami,
Niema piędzi ziemi
Nieprzesiąkłej łzami!...

Adela Koneczna.



W setną rocznicę urodzin bohatera.

Giuseppe Garibaldi.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA.



(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ IV-ty.

Na ziemi neapolitańskiej — Zdoby-
cie Reggio.

Pod koniec Sierpnia 1860-go roku o godzinie trzeciej po południu, podczas najcudowniejszej pogody, zbliżyliśmy się do Melito. Wraz z zapadnięciem zmroku całe wojsko wraz z bronią i bagażami znalazło się już na lądzie i gdyby „Torino“ nie był się spóźnił—to wyruszylibyśmy na Reggio jeszcze tegoż samego dnia.

O godzinie trzeciej po południu pojawiły się trzy parostatki burbońskie, które prowadziły „Fulminante“ i jęły ostrzeliwać nasze

statki oraz wojska. „Torino“ nie był w możności wydobyć się z mielizny, został przeto na niej spalony, podczas gdy „Franklinowi“ udało się uciec szczęśliwie.

Nazajutrz około godziny trzeciej rano skierowaliśmy się ku Reggio. Przed wieczorem, po chwilowym odpoczynku, dotarliśmy do celu naszego pochodu i, nie chcąc zetknąć się z przedniemi czatami nieprzyjaciela, zwróciliśmy się na prawo od miasta.

Pułkownik Antonio Plutino, prowadzony wraz z kilkudziesięciu patryotami przez dobrych przewodników, połączył się z nami. Odgoczyaliśmy parokrotnie w przeciagu nocy i przed drugą nad ranem uderzyliśmy na Reggio.

Przypuściliśmy szturm do Reggio z pagórka, położonego na wschód od miasta, przy czem opór ze strony wroga nie był nazbyt wielki, ponieważ prawdopodobnie nie oczekiwano uderzenia z tej właśnie strony.

Wojska burbońskie zaparły się w fortach po starciu się z nami, przy czem odnieśli rany: generał Bixio, pułkownik Plutino oraz paru innych oficerów i żołnierzy. Przednie straż nieprzyjacielskie zostały częściowo rozbite, częściowo zaś wzięte do niewoli. Najgorętsza walka wrzała tej nocy na głównym placu miasta i w jej zamęcie odebrałem postrzał w czapkę.

Wypędziliśmy nieprzyjaciela z miasta, nie bacząc na nieład, jaki się wkradł w nasze szeregi: pozostawiwszy Bixia, ruszyłem nad ranem w okolice miasta, w celu przekonania się, czy wróg gromadzi się jeszcze, czy też nie, oraz zobaczenia, czy już nadciąga pułkownik Eberard.

O oto zaledwie stanąłem na wyżynach, otaczających Reggio, kiedy pojawiła się kolumna nieprzyjacielska, licząca około dwóch tysięcy ludzi, a kierująca się ku wzgórzom, na których się znajdowałem.

Wychodząc, zabrałem ze sobą z Reggio tylko mały oddział piechoty, oraz trzech moich adjutantów: Bezziego, Bassa i Canzia. Otóż teraz, dostrzegłszy zbliżającego się nieprzyjaciela, ustawiłem mój oddział na najwyższym punkcie wyżyny, gdzie był zbudowany dom jakiegoś kolonisty, któremu kazałem się usunąć, w przewidywaniu, że tu właśnie nastąpi starcie z wrogiem. I nie zawiodłem się: przysunęła się ku nam kolumna generała Ghio, komendanta Reggio. Wobec tego zażądałem posiłków z miasta.

Moje położenie nie było łatwe wobec przeważającej ilości wroga; nie bacząc jednak na to, przyjąłem bitwę i zwycięstwo uśmiechnęło się do nas tym razem, jako jasny promień pogodnego słońca. Wsparty nadesłanymi mi przez Bixia posiłkami, natarłem śmiało na nieprzyjaciela, który zachwiał się i wnet począł ustępować, pozostawiając nam plac walki.

Następstwa bitwy pod Reggio były wielce doniosłe, ponieważ nie tylko, żeśmy opanowali miasto, ale nadto w nasze posiadanie dostały się forty, oraz znaczne zapasy materiałów wojennych i żywności.

Natychmiast po bitwie puściliśmy się w poгон za korpusem Ghia, który też zaraz nazajutrz złożył broń, dzięki czemu w nasze ręce dostała się wielka ilość oręża, oraz parę baterii polowych. W walce tej został zabity Deflotte, przedstawiciel Paryżan, wypędzony z Francji przed Bonapartego.

Wzdłuż Kalabrii posuwaliśmy się w istnym tryumfalnym pochodzie, podczas którego przyłączała się do nas wielka ilość mieszkańców, uzbrojona zdobytą na Burbończykach bronią. W Loveria poddała się nam bez wystrzału cała dywizya Viala, złożona z ośmiu tysięcy ludzi, przyczem znowu w ręce nasze wpadło wiele broni, dział, karabinów, oraz amunicji. Brygada Caldarelli'ego wraz z kolumną kalabryjską Morelli'ego kapitulowała przed Cosenzem. Tak więc, w przeciagu paru dni, zmierzając z Reggio do Nea-

polu, poprzedzany ciągle naszymi kolumnami, dostałem się wreszcie do pięknej Partenopy.

ROZDZIAŁ V-ty.

Wkroczenie do Neapolu dnia 7-go Września 1860-go roku.—Bitwa pod Voltturnem dnia 1-go Października 1860-go roku.

Nie było jeszcze na świecie czegoś bardziej uroczystego, czegoś bardziej podniosłego i porywającego nad wkroczenie nasze do Neapolu. Wraz z paru adjutantami wszedłem do miasta wzdłuż frontu wojsk burbońskich, władających jeszcze Neapolem, które zaprezentowały broń z taką sprężystością, jak tego nigdy nie robiły przed swymi generalami.

Z synów Partenopei któż nie przypomni sobie pełnego chwały dnia, dnia 7-go Września 1860-go roku? W dniu tym zwała się dynastya, którą znakomity statystyk angielski nazwał „przekleństwem bożem“ i w dniu tym, na zwaliskach owej dynastyi, poczęły się rządy ludu, które jednak, niestety, trwały niezbyt długo.

Było to w dniu 7-ym Września, kiedy jeden z synów ludu, wraz ze szczupłą garstką swych przyjaciół, zwanych się adjutantami (Missori, Nutto, Basso, Mario, Stagnetti, Canzio), wkroczył do wspaniałej stolicy ognistego rumaka (herb Neapolu), przyjmowany z niesłychanym zapalem i entuzjazmem przez mieszkańców. Jego nieugięta wola i płomienne pragnienie spełnienia raz powziętej myśli, obywatelną całą armię, dopomogły mu do zwalczenia tyranii i do zwrócenia ludowi wdartych i zdeptanych jego praw.

Wszedłem do Neapolu wówczas, gdy cała nasza armia południowa znajdowała się jeszcze dość daleko nad cieśniną Messyńską, i wówczas, kiedy król, opuściwszy poprzedniego dnia stolicę, udał się do Capui.

Oswobodziciele narodu zajęli nieostygły jeszcze tron monarszy, a szalejący lud zniszczył bogate ozdoby monarszej rezydencyi.

Bierne zachowanie się całej marynarki burbońskiej, która śmiało mogła wpłynąć na opóźnienie naszego pochodu i zawładnięcia stolicą, przyczyniło się bezwarunkowo do tak pomysłnego przebiegu całej sprawy.

Stwierdzić bowiem należy, że nasze statki parowe, przewożące oddziały armii południowej, przepływały bez żadnych trudności wzdłuż całego wybrzeża neapolitańskiego, czego bezwarunkowo nie mogłyby były dokonać, jeżeli temu stanowczo przeszkodzić chciała marynarka burbońska.

W Neapolu, w wyższym jeszcze stopniu niż w Palermo, rozpanoszył się bezkarnie Cavouryzm, nie mało nim zakrzętając.

Doszedł on do bezgranicznej bezczelności, opierając się na rozpowszechnianej wszędzie pogłosce, jakoby wojska sardyńskie wkroczyły do Państwa papieżkiego. Dla osiągnięcia swego celu, stronnictwo to, gruntując się na rozkładzie społeczeństwa, niczego czynić nie zaniebdało. Usiłowania, dążące do zatrzymania nas po tamtej stronie cieśniny i ograniczenia działań naszych jedynie tylko do Sycylii, zdradziły nieczne zamiary owego stronnictwa. Dla ziszczenia tego celu wezwano pomocy wspaniałomyślnego i szlachetnego opiekuna, w skutek czego ukazały się niebawem przy Faro (latarni morskiej) statki marynarki francuskiej. Ale zamiary stronnictwa uległy pokrzyżowaniu, dzięki energicznemu wystąpieniu lorda Johna Russel'a, który, imieniem Anglii dał do zrozumienia francuskiej Jego Cesarskiej Mości, aby się nie wtrącała do spraw naszych.

Z łatwością zrozumieć można, com musiał znieść z tymi panami, którzy koniecznie chcieli uchodzić za protektorów, i gdyby nie święta sprawa Włoch, byłbym się niewątpli-

wie rozprawił z nimi tak, jak na to zasługiwali.

Oto np. pod pozorem wspomagania mię, przysłano, oddając je zresztą pod moje rozkazy, dwa bataliony wojsk sardyńskich, których właściwym zadaniem było czuwanie nad nami i strzeżenie nas.

Widząc, że nic sobie nie robię z czynionych zabiegów, wrocie mi stronnictwa usiłowały teraz wywołać rewolucję przeciwko nam—ale dzielni Neapolitańczycy nie dali się uwieść, ani skusić!

Ponieważ musiałem pozostawić wojsko pod Volturmo, udając się do Palermo, poleciłem przeto generałowi Sertori'emu, zacnemu naczelnikowi sztabu generalnego, by nasze oddziały przecięły nieprzyjacielowi możność porozumiewania się. Postanowił on zająć w tym celu Caiazzo, miasteczko, znajdujące się na wschód od Capui, na lewym brzegu Volturna. Stanowisko to było obecnie zajęte przez centrum wojsk burbońskich, obozujące na wschód od Capui i liczące około 4,000 ludzi, których ilość z dniem każdym się powiększała.

W celu zajęcia Caiazza należało wykonać pozorny atak na lewy brzeg Volturna, gdzieśmy stracili paru dzielnych żołnierzy, a to z powodu, że nasze wojsko musiało walczyć w otwartym polu i to z nieprzyjacielem zaopatrzonym w doskonałą broń. W dniu 17-m Września uderzono na Caiazzo i zajęto je; tegoż dnia powróciłem z Palermo.

W dniu następnym, przeważające siły burbońskie zaatakowały Caiazzo i zniewoliły niewielki nasz oddział do opuszczenia tej miejscowości i spiesznego cofnięcia się ku Volturmo, gdzie wielu naszych legło przy przeprawie.

Ubieganie się o zajęcie Caiazza było z naszej strony nie tylko chybione, lecz wprost nierozsądne; dowodziło poprostu, że ten, który je postanowił, nie posiadał taktu militarne go. Do niewoli nieprzyjacielskiej dostali się dzielni nasi ranni: pułkownik Titto Cattabone, oraz Bosi, syn Pawła, majora.

Prócz tej chybionej próby zajęcia Caiazza, miała miejsce jeszcze inna, skierowana na Isernę. Obie najniekorzystniej wpłynęły na naszych żołnierzy, podnosząc za to na duchu Burbończyków i stanowiąc szczęśliwą dla nich zapowiedź wielkiej zamierzonej bitwy, którą stoczyliśmy z nimi w dniach 1-ym i 2-im Października.

Wobec tego, że nieprzyjaciel zamierzał ufortyfikować Capuę, przeto, cofając się za Voltarno, otoczyły ją wojska burbońskie, przybyłe z Sycylii do Kalabrii i Neapolu. Pierwsze kolumny wojsk południowych, przybyłe zaledwie z pobliza Neapolu, zwrócone zostały ku Avellino i Ariano. Generałowi Türrowi rozkazano zająć Casertę i Santa-Maria, inne zaś oddziały zostały skierowane ku tej stronie, z której przybyły z Neapolu. Dywizya Bixia, tworząc prawe skrzydło naszej małej armii, zajęła Maddaloni, oraz główną drogę, łączącą Campo Basso z Abruzzami. Dywizya Medici'ego zajmowała Monte Sant'Angelo, które panuje nad Capuą i Volturmo. Została ona wzmocniona oddziałami, nowo-utworzonymi pod dowództwem generała Avelzzana. Jedna brygada z dywizyi Medici'ego, pod wodzą generała Sacchi'ego, zajmowała północny stok góry Monte Tifata, panującej nad równinami Capuańskimi. Wszystkie te zastępy stanowiły nasze centrum. Dywizya Türra, zajmująca Santa Maria, tworzyła nasze lewe skrzydło. W Caserta znajdowały się rezerwy, pod dowództwem generała Sirtori'ego, szefa sztabu.

(Dokończenie nastąpi).



Praca kulturalna kobiet rosyjskich.

ze źródeł obcych
spolszczyła J. W.



(Ciąg dalszy).

Kobiety często występują w roli autorek i dziennikarek i to z wielkiem powodzeniem, aczkolwiek od czasu zawieszono przez władzę pisma „Kwestya kobieca,” specjalnego dziennika poświęconego sprawom kobiecym, nie założono. Znając stosunki rosyjskie, łatwo zrozumieć, że ogół nie odczuwa konieczności takiego pisma, gdyż pisma związkowe nie mogą być potrzebą tam, gdzie związki nie istnieją, i gdzie broszury agitacyjne znajdują się na indeksie. Sprawy obchodzące kobiety mogą być poruszane na szpaltach dzienników, czytanych przez ogół. Zresztą literatura rosyjska wykazuje cały szereg świetnych utworów pióra kobiecego, tak z dziedziny beletrystyki, jak i naukowej. Niepodobna tu wyliczać wszystkich dzieł szczególnie, wymienimy jednak kilka nazwisk wybitniejszych, bardziej znanych, i tak: Ragozina wydała niedawno dzieło epokowe o Egipcie, Arabii, Mezopotamii i innych krajach azyatyckich. Najlepszą krytykę Fausta zawdzięcza język rosyjski kobiecie: Adeli Frisch-nux, auterytetowi w dziedzinie filologii praktycznej; władała ona bowiem z największą łatwością dwunastu językami.

Do wyników daleko lepszych doszły kobiety w zasadach praktycznych. Spotykamy tu na każdym kroku bardzo rozgałęzioną działalność kobiet; dla swej ogólnie uznanej tężliwości, sumiennosci i obowiązkowości—wyróżnianą. Muszę tutaj zastrzedz się przeciwko zarzutowi, jakobym pragnęła zdaniu powyższemu nadać wartość ogólną. Jest to, rzecz prosta, punkt widzenia czysto rosyjski i mający w Rosyi rację bytu. Podzielają go tam zarówno mężczyźni jak i kobiety. Przyczyną tego dziwnego zjawiska mężczyźni upatrują przeważnie w „klimacie.” Przyznam się, że nie pojmuję, dlaczego wpływ „klimatu” na ustrój mężki miałby być zgubniejszy, niż na kobiecey; uważam natomiast, że kobieta zawdzięcza swoją większą odporność i pracowitość lepiej zachowanemu zdrowiu, bardziej prawidłowemu trybowi życia i spokojniejszemu wysypianiu się. System nerwowy i w ogóle cały organizm kobiety jest mniej zużyty. Inaczej u mężczyzn, u których spotykamy przedwczesne zmęczenie i niechęć do pracy, i to u przedstawicieli wszystkich klas; od robotnika ujarzmionego alkoholem, do sfer najwyższych, które w stopniu jeszcze potężniejszym oddają się pijaństwu, grze i innym wybrykom.

Do zawodów na poły praktycznych, na poły naukowych, dostępnych dla kobiet, należy przedewszystkiem aptekarstwo. I tutaj posiadamy jaskrawe przykłady wyróżniania kobiet. W Petersburgu nadano niedawno kobiecie koncesyę na prowadzenie apteki i chętnie zgodzono się na obsadzenie wszystkich wakujących posad siłami kobiecymi. Jest to oparte na poważnych podstawach. Zawód aptekarski, którego rozwój przemysłowy do-

sięgnął w Rosyi niebywale wielkich rozmiarów—jako taki nie cieszy się wielkiem poważaniem. Ponieważ wymagane do tego zawodu przygotowanie wstępne, ogranicza się do czterech klas gimnazyalnych, wzięły się więc do niego sfery niższe, poniżając go i podrywając zaufania do niego. Pomiędzy młodzieżą żeńską, znalazło się bardzo wiele kobiet kulturalnych, wykształconych i starannie przygotowanych. Rozumie się, że porównanie, przeprowadzone między obiema płciami w tym zawodzie wypada na korzyść kobiet, a jeżeli są pomiędzy niemi posiadające choć podstawowe materyalne środki, mogą sobie na tej drodze stworzyć egzystencję przyjemną, a nawet zbytkowną.

Z zawodów praktycznych należy też wymienić pocztę i telegraf. Telegrafistki pracują już od 35-ciu lat, co prawda są one czynne tylko w czwartej, najniższej klasie Awansowanie zdolniejszych i dłużej pracujących do klasy trzeciej zostało niedawno zapowiedziane w prasie, wkrótce jednak cofnięte; w każdym razie jest to z pewnością tylko kwestyą czasu. Służba pocztowa także tymczasowo tylko niższa, stoi dla kobiet od niedawna otworem. Istnieją filie pocztowe, obsługiwane wyłącznie przez kobiety. Szefem biura jest coprawda mężczyzna, spędza jednak w niem tylko kilka godzin, w celu kontrolovania podwładnych.

W gospodarstwie rolnem siły kobiece zużywane są dziś li tylko do posług niższych. Przygotowanie do tego zawodu nabywają kobiety na tak zwanych kursach agronomicznych, istniejących we wszystkich prawie większych miastach państwa rosyjskiego. Kursy te powstały dzięki inicjatywie „Towarzystwa popierania wykształcenia agronomicznego wśród kobiet,” które teraz podało do zatwierdzenia ministerium rolnictwa wspaniale opracowany prospekt wyższej szkoły rolniczej dla kobiet. Ponieważ Rosya jest krajem wybitnie rolniczym, posiadającym niezmiernie rozległe dobra ziemskie, na tem więc polu rosyankom przedstawiają się szerokie widoki na przyszłość. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że w Rosyi, tak jak i wszędzie na świecie, kobiety czynne są w handlu; niezależnie od niższych sfer panien sklepowych, buhalterek, sekretarek, kasyerek, korespondentek i t. d. Dotychczas nabywały kobiety potrzebnych wiadomości, bądź drogą praktyki, bądź też w instytutach, przygotowujących do najrozmaitszych zawodów praktycznych. Dopiero w ostatnich latach zaczęto otwierać w Odesie, Moskwie i Kijowie szkoły handlowe. Szkoły te nie podlegają ministerium oświaty, lecz ministerium finansów. Pozwolenie na otwieranie szkół powyższych udzielano z łatwością, a to dzięki wpływowi byłego ministra finansów Wittego, niezmiernie przychylnie usposobionego dla sprawy kobiecej. Witte w planach podanych żadnych zmian nie poczynił.

Do dzisiejszego dnia banki nie przyjmują jeszcze kobiet w poczet urzędników; nawet „Crédit lyonnais” nie dopuszcza ich do swoich filii, pomimo, że jego biuro centralne w Paryżu zatrudnia 800 pracownic. Kobiety nie tracą jednak nadziei, iż zarządy banków z czasem zgodzą się na ich współpracownictwo.

Właścicielki domów bankowych — a takich posiada Petersburg sporo, — starały się o wstęp na giełdę, motywując prośbę swą tem, że tylko osobiste prowadzenie transakcji giełdowych uchronić je może od kłopotów i strat materyalnych.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z listów do „Bluszczu.”



Lwów, we Wrześniu.

Pomoc naukowa dla Polek. Towarzystwo istniejące pod tą nazwą w Krakowie a zawiadowane przez Kazimierę Bujwidową i profesora N. Cybulskiego, pracuje według ostatniego sprawozdania w niezmiernie ciężkich warunkach i w obec napływu podań zasługujących wzwględnienie, znalazło się w konieczności wyczerpania kapitału żelaznego. Wydział się skarży na zupełny brak zainteresowania się tą instytucją polską, popierającą średnie i wyższe wykształcenie kobiet.

Lwowski Instytut muzyczny — oto firma nowej szkoły, która powstała przed laty dwoma we Lwowie. P. Anna Niementowska, odczuwając brak prawdziwie artystycznej instytucji muzycznej, podjęła myśl piękną; dać nam szkołę, odpowiadającą w zupełności wszelkim wymaganiom i zasadom nauki piękna i muzyki. Za chlubne świadectwo dla zacnej i szczerzej Polki, niechaj posłuży fakt, że jednym z powodów założenia instytucji był ten, by rodaczkom nie mającym środków na wyjazd za granicę celem dalszego kształcenia się, tu w kraju stworzyć szkołę odpowiednią, w którejby mogły dalej prowadzić studia muzyczne z różnym pożytkiem, nie zwracając zupełnie uwagi na to, że postawienie Instytutu na stopie europejskiej pochłonąć musi wiele od razu. Bez prób i szkodliwych eksperymentów, dyktowanych systemem oszczędnościowym — przystąpiła do organizacji szkoły, z najlepszego materiału, składając nauczycielskie grono Instytutu z najpoważniejszych muzyczno-pedagogicznych sił polskich. Myśl, która była tak ponętna w programie, wcale nie łatwą okazała się w systematycznym jej przeprowadzeniu.

Doprawdy, wprost dziwić się należy, z jak u kobiety tej tyle niestrudzonej energii, tyle sił i gorących chęci. Pomimo znacznej i dość poważnej konkurencji, p. Niementowska idzie naprzód i oto dziś już zakład jej zajmuje dominującą w okolicy stanowisko. W kilku słowach pragnę zaznaczyć, czego może dokazać kobieta usilną pracą, wytrwałością i poświęceniem. Cześć dzielnej tej kobiecie i zacnej Polce!

* * *

Przed paru tygodniami, wieczorem, pod mieszkaniem d. r. M. B., auskultanta sądowego, odebrała sobie życie młoda dziewczyna, nazwiskiem Zofia Hor., słuchaczka filozofii na tutejszym uniwersytecie.

Tragedya, jak świat stara, bardzo prosta, bardzo zwyczajna. On i ona. On bogaty, mający przed sobą wszystkie drogi prowadzące do zrobienia kariery, — ona uboga, wykształcona i piękna. I to ostatnie stało się przyczyną jej zguby. Poznała go i pokochała. A on? W początkach zapoznania udawał miłość. A może i nie udawał. Może naprawdę ją kochał tak, jak ona, dla której miłość ta stała się życiem. Po pierwszych okresach romansu, przyszyła z jego strony brudna i zimna rozważa. Nie zważał na to, że owoce ich miłości przeżywała ona w szpi-

talu, gdzie znalazła się w stanie brzemien- nym, że musiała tu przebyć ciężką operację, że zerwaniem z nią stosunków złamie jej życie. Miał jej dość. Powiedział, że względy rodzinne nie pozwalają mu na zaślubienie jej. Ona nie chciała w to wierzyć. Kochała i myślała, że jest kochaną. Ot zwyczajnie kobieta. Omyliła się; jednakowoż nie dała za wygraną. Chciała go zmusić, by pozostał jej wiernym, by dotrzymał danej obietnicy. A gdy się zawiodła, zapragnęła zemsty, choćby drogą wywołanego skandalu. Zaskarżyła go do sądu i uzyskała wyrok, mocą którego znany d. r. M. B. za uwiedzenie został skazany za zapłacenie odszkodowania 5.500 koron i 5 tygodni aresztu. Wyższy sąd zniósł jednak ten wyrok. Uwodziciel tryumfował. Cóż pozostawało biednej dziewczynie!? Próbowała słowami przekonać niewiernego, że popełnił łajdaństwo, przemówić do jego serca i ludzkości! Daremnie. Doktor M. B. nie chciał tego słyszeć i rozumieć — ani też widzieć ofiary swej chwilowej zabawki; więc zwrócił się do policji z żądaniem wydania p. Hor. zakazu nagabywania jego mieszkania. W poniedziałek w południe zawezwano ją do policji, gdzie otrzymała surowy zakaz nachodzenia mieszkania doktora M. B. Przed komisją rzecznictwa zeznała, że zrezygnowała z małżeństwa z doktorem M. B. — lecz prosi go tylko o taką sumę, któraby jej umożliwiła wyjazd do Szwajcaryi dla ukończenia studyów. — Odmówił. — Przyznała, że często po dni kilka niczego nie miała w ustach — że cierpiała głód i wielką nędzę, o co by ją nikt nie posądził. Doktor M. B. dobrze o tem wiedział, lecz nie spieszył z pomocą, chcąc całkowicie zerwać z nią stosunki.

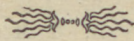
Tegoż samego dnia, wieczorem, odebrała sobie życie. Zakazu nie przekroczyła: zastrzeżona była u progów jego mieszkania. Zupełnie tak samo, jak zbity pies, który nie śmie pokazać się swemu panu i skomli pod drzwiami. Tak i ona — sponiewierana i odtrącona przez niego — pod jego mieszkaniem odebrała sobie życie.

W Czwartek, o godzinie w pół do 6 ej, odbył się jej pogrzeb. Smutnemu temu obrzędowi towarzyszyły tłumy publiczności, składającej się przeważnie z kobiet.

Takie tragedye, jak ta, dzieć się będą tak długo, dopóki istnieć będzie dzisiejszy ustrój społeczny, niesprawiedliwy dla kobiety i oddający ją zupełnie w moc mężczyzny.

Śmierć tej młodej dziewczyny jest strasznym protestem przeciwko niesprawiedliwości i obłudzie dzisiejszych naszych stosunków społecznych — jest ofiarą im złożoną. Muszę jeszcze zaznaczyć, że pod tym skandalem ukrywa się drugi: dzisiejszy stosunek do mężczyzny.

L. En.



Warunki pracy zarobkowej kobiet u nas.



III.

Pracownice igły.

Warunki pracownic igły pozostawiają wiele do życzenia, i jedynie bielizniarki, aczkolwiek też nie osiągnęły warunków normalnych, lecz dla pewnych przyczyn, nieco znośniejsze.

Pracowni bielizniarskich, większych, istnieje w naszym mieście kilkanaście, zatrudniających od 10—30 pracownic. Bielizniarek uzdol-

nionych jest liczba nieznaczną i dlatego pracują na lepszych warunkach, otrzymują od 15 do 30 rubli miesięcznie, bardzo często z obiadam; maszynistki zwykle są płatne od tuzina uszytej bielizny, większość otrzymuje robotę do domu. Pracownice uzdolnione nie bywają oddalane nawet po sezonie.

Uzdolnione pracują po kilka lat w jednej pracowni, często tam, gdzie się uczyły, a pracują długo, gdyż obejście się pracodawczyń w pracowniach bielizniarskich jest zazwyczaj znośniejsze, niekiedy nawet bardzo uprzejme. Wynika to może z potrzeby, przy braku dobrych pracownic, lecz przez to zżywiają się z sobą w przeciągu kilku lat. Za godziny wieczorowe otrzymują oddzielną płacę.

Gorzej bywa z mniej uzdolnionymi, pobierającymi 6 do 12 rubli, gdyż te przyjmowane są w sezonie, a potem oddalane, chyba, że pozostają w tej samej pracowni od początku nauki.

Małe pracownice, po większej części, starają się obywać uczennicami, płacąc im od rubla do trzech dla zachęty. Z nich to tworzą się tak zwane podręczne — sezonowe!

Godziny pracy, prócz kilku tylko pracownic, nie są unormowane.

Pracownice haftu białego, kolorowego czy zakopiańskiego, zatrudniają od 10 do 15 pracownic. Zdolniejsze z nich dostają od 15—25 rubli miesięcznie, zupełnie uzdolnione płatne są od sztuki; mniej zdolne pobierają od 6 do 10 rubli, wszystkie prawie dostają robotę do domu, co im daje możliwość pracy zyskowej w sezonie i zdobycie większego zarobku. Skarżą się tylko, że zapłata nie bywa akuratną, z winy klientek, nie odbierających na czas wykończonej roboty.

Obejście pracodawczyń rzadko bywa przykre, ponieważ boją się stracić uzdolnioną pracownicę, a haft potrzebuje umiejętności, często nawet artyzmu.

Pracowni krawatów, większych, zatrudniających po 70 pracownic, jest dwie. Zarobek jest unormowany tak, że wszystkie zdolne biorą od 30—40 rubli miesięcznie (rozumie się przy pomocy uczennic), po sezonie zarabiają od 15 do 25 rubli.

Za robotę, wziętą do domu, pobierają od 10 do 15 kop. za godzinę. Podręczne, t. zw. szykowniczkę, biorą od 10—15 rubli miesięcznie.

Mają one co prawda dwie godziny obiadu, lecz praca zaczyna się już o godzinie 8 i pół z rana, a kończy o 7-iej wieczorem. Obejście się pracodawców bywa względne, za to obejście zarządzających wprawia w podziw, gdyż te przecież są też pracownicami.

Małe pracownice zatrudniają prawie same tylko uczennice, gdyż biorąc robotę tuzinami z fabryk, mało liczą na sprzedaż prywatną.

Najtrudniejszą sprawą jest unormowanie godzin pracy, posiłku i pracy, udało się to dotychczas załatwić w części u kapeluszniczek, t. zw. modystek-strojarek.

Praca to sezonowa: Styczeń i Luty—Lipiec i Sierpień. Cztery miesiące przedzielające te okresy, to wegetacja zarówno pracodawczyń, jak i pracownic.

Pozostałe znów cztery miesiące to praca dodatkowa, zapóźnionych lub niemających środków, praca zaś sezonowa wre gorączkowo — we dnie i w nocy.

Pracowni kapeluszy zatrudniających po kil-
dziesiąt pracownic, nie wiele, za to wiele ma-
łych, zatrudniających po 5 do 10-ku.

Wszystkie uzdolnione pracują cały rok,
otrzymując w sezonie po 20 do 35 rubli pen-
syi miesięcznej, a w niektórych pracowniach,
po sezonie, pracują pół dnia, otrzymując $\frac{3}{4}$
pobieranej pensyi.

W sezonie obejście bywa uprzejme, wzglę-
dne, wypłata akuratna, później często się
zmienia.

Godziny posiłku są rozmaite, co powinno
też być jednakowo ustanowione.

Lecz co poradzić z pracą po za godzinową,
całonocną nieraz, a niepłatną. Praca ta by-
wa niekiedy musową, ale czy powinna być
bezpłatną?

Pracownice, tak zwane podręczne, wiodą
życie koczujące i długo bardzo zarabiają zbyt
mało, tak długo, aż dojdą do wprawy, która
im pozwoli zarabiać wieczorami prywatnie
przyjmowaną robotą.

Co do wakacji letnich, wiadomo nam tylko,
iż pracownia p. Hersego udziela dwutygodnio-
wych, płatnych, dając również pracownikom
rocznym kolendy, stosownie do pobieranej
pensyi. Pracownia p. Gruczyńskiej udziela
półtoramiesięcznych wakacji płatnych, rzad-
ko jednak płaci za robotę po za godzinową.

Jest to niewiele, lecz na początek i to jest
dużo. Być może, iż są jeszcze pracownice,
udzielające płatnych wakacji, lecz nie zdoła-
łam się o nich dowiedzieć — jeśli są, prosimy
o zawiadomienie.

H. K.

W dniu 29-ym Września odbyło się zebra-
nie, zwołane przez Z. P. I., a składające się
z pracownic i właścicielek pracowni.

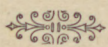
Na zebraniu tem uchwalono w zasadzie ko-
nieczność zawierania piśmiennych umów mię-
dzy pracownicami a pracodawczyniami i od-
czytano projekt takiej umowy, a następnie
rozbierano jej poszczególne punkty.

Różnice zdań, jakie się w ciągu dyskusyi
ujawniły, nasuwają przypuszczenie, że niektó-
re punkty projektowanej umowy w poszcze-
gólnych wypadkach pewnym modyfikacyom
ulegać będą, zasadnicze jednakże paragrafy
ustalą się powszechnie, jako normy obowią-
zujące. W przewidywaniu rozlicznych kwe-
styj spornych, jakie między stronami intere-
sowanymi wyniknąć mogą, postanowiono po-
wołać komisję, której zadaniem będzie:

- 1) czuwać nad wypełnianiem przez obie strony warunków kontraktu;
- 2) ustanowić stały cennik pracy, na który w warunkach wątpliwych powołać się będzie można.

Wybranie odpowiedniej komisji, złożonej
z rzeczoznawczyń, polecono Zarządowi Zwią-
zku P. I.

Z. B.



DOROCZNA WYSTAWA Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych.



Szkolne popisy w Towarzystwie Zachęty
zakończyły się pokazem prac uczniów najpo-

ważniejszej naszej uczelni artystycznej — war-
szawskiej Szkoły sztuk pięknych. Instytucya
ta, licząca już cztery lata istnienia, zwykle
parę razy do roku zaznaja szerszą pub-
liczność z rezultatami swej pracy, — obecna
wystawa jest pierwszą w tym sezonie; nie
obejmuje ona jeszcze studyów plain'air'u, gdyż
duża grupa uczniów przebywa dotąd w oko-
licach Wilna z profesorem Konradem Krzy-
żanowskim, pod którego kierunkiem pracow-
ła przez letnie miesiące.

Obecna wystawa przedstawia się bardzo
zajmująco i poważnie w stosunku do poprze-
dniej z roku ubiegłego, znać większą dojrza-
łość artystyczną uczniów, których indywidual-
ności zaczynają się coraz wyraźniej pogłębiać
i krystalizować.

Znać tu studia sumienne i wytrwałe, pod
kierunkiem wytrawnych profesorów prowa-
dzone w sposób nader urozmaicony i różno-
stronnie zdolności uczniów rozwijający. Wy-
stawa obejmuje rysunki węglowe głów i ak-
tów, oraz także studia olejne, pejzaże i stu-
dya kwiatów, szkice zwierząt w ruchu, duża
ilość kompozycyi z zakresu sztuki stosowanej,
litografie i fluoroforty z działy sztuk graficz-
nych, oraz pewną ilość prac rzeźbiarskich; jak
widzimy z powyższego wyliczenia — plon jest
obfity i różnorodny.

We wszystkich pracach widać stały, a bar-
dzo racjonalny kierunek dążenia od całości
do szczegółów, kładzenia głównego nacisku
na ruch, proporcję i charakter przedmiotu.
Uczniowie rysują i malują bardziej plamami,
niż linią, starając się o dokładne pochwyce-
nie światłocieniu i ogólnej bryły, co im się
nieraz udaje nader szczęśliwie.

Niektóre z rysunków węglowych mają tak
subtelne tony, że wydają się kolorowe, przez
nader umiejętnie oddany efekt oświetlenia.

Dział pejzażu, mniej bogaty tym razem ilo-
ściowo, jest harmonijnie utrzymany w ogól-
nym tonie, trochę przyćmionym jakby z umy-
słu i unikającym silnych oświetleń słonecz-
nych.

Doskonałe są paruminutowe szkice zwierząt
w ruchu, nader trudne do wykonania, gdyż
wymagają one bardzo wyrobionej obserwacyi
i pamięci malarskiej.

W dziale graficznym znajdujemy nader ar-
tystyczne fluoroforty, wśród których odzna-
cza się ciekawa teka, wydana przez ucz-
niów szkoły, jako samopomoc dla uboższych
kolegów, gdyż dochód z jej sprzedaży prze-
znaczono na opłacenie wpisów szkolnych.

Nader zajmująco przedstawie się dział sztu-
ki stosowanej, prowadzony przez profesora
Edwarda Trojanowskiego.

Widzimy tu szereg kompozycyi, opartych
przeważnie na motywach roślinnych; są to
barwne wzory na tapety, pomysły na afisze,
okładki do książek, wzory na kilimy. Jeden
z takich kilimów, już wytkany, pociąga oko
harmonijnością barwy i prostotą linii; robi
on bardzo dodatnie, estetyczne wrażenie.

Bardzo ciekawie przedstawiają się pejzaże
wycinanki z kolorowego papieru, niezwykle
intensywne w barwie i zajmujące w pomysle,
mogłyby one z powodzeniem służyć jako wz-
ory do nader oryginalnych witraży.

Kompozycyi w dziedzinie sztuki czystej
znajdujemy bardzo niewiele na obecnej wy-
stawie; oryginalnych pomysłów w rodzaju
zeszłorocznego cyklu p. Czurlanisa nie spoty-
kamy zupełnie. Nie można stawić tego je-
dnak jako poważny zarzut uczniom, gdyż
i wśród skończonych artystów nie często zda-
rza się spotkać wybitniejszy talent kompozy-
cyjny.

Na zakończenie notatki tej kilka słów o rze-
źbie. Prace uczniów profesora Dunikowskie-
go noszą wybitne piętno kierunku nauczycie-
la, który na naturę patrzy pod pewnym, spe-
cjalnym kątem widzenia. Studya uczniów je-
go są dobre w ruchu, wierne pod względem
wiązań anatomicznych, ale tak odstrasające

brzydota kształtów, że robią wprost przygnę-
biające wrażenie. Zapewne, iż i takie potwor-
ności spotyka się w naturze, a artysta ma
prawo odtwarzać to, co najwięcej do jego
wyobraźni przemawia. Czy jednak będzie
kierunkiem zdrowym wybieranie za cel stu-
dyów swych li tylko potwornością odznacza-
jące się kształty, rozmyślnie zamykając oczy
na wszelkie przejawy naturalnego, harmonij-
nego piękna?

Można się zgodzić na to, iż sztuka zajmu-
je się *wszystkimi* wzruszeniami, jakie odczu-
wa dusza człowieka, odtwarza ona nieraz to,
co jest brzydkie lub straszliwe, nie przesta-
jąc być sztuką; o ile jednak widzi ona w na-
turze wyłącznie okazy patologiczne i potwor-
ność, z pominięciem wszelkich innych jej prze-
jawów, staje się pewnem zwyrodnieniem, u-
czucie wysokiego niesmaku budzącem. Zresz-
tę, o ile indywidualność p. Dunikowskiego
pociąga go w stronę okazy patologicznych
(jak to widzieliśmy na ostatniej jego wysta-
wie), ma on prawo tylko swoją twórczość
kierować temi drogami; narzucanie zaś takie-
go kąta widzenia wrażliwym umysłom uc-
niów uważać należy za bezwarunkowo szko-
dliwe dla ich przyszłej kariery artystycznej.

To też dział rzeźby wnosi jedyną niemiłą
nutę w harmonijny całokształt wystawy uc-
niów szkoły sztuk pięknych, o wysokim po-
zomie i bardzo artystycznym kierunku tej
uczelni świadectwo dającym.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.



Z Towarzystwa badań nad dziećmi.



W dniu 27-ym b. m. o godzinie 8-iej wie-
czorem, odbyło się w lokalu Uranii, pierwsze
powakacyjne posiedzenie naukowe Polskiego
Towarzystwa badań nad dziećmi.

Zagaiła zebranie p. Aniela Szycówna, wy-
jaśniając, że pierwsze zebranie ogólne, na
którem przedstawione zostanie sprawozdanie
z dotychczasowej działalności i budżet Sto-
warzyszenia, odbędzie się później; obecne zaś
posiedzenie jest tylko naukowe. Zebrania
takie odbywać się będą co miesiąc. Poczem
w kilku pięknych i treściwych zdaniach okre-
śliła prelegentka cel Towarzystwa: badanie
dziecka tak fizyczne, jak psychiczne i popula-
ryzowanie tych badań.

Następnie zabrała głos p. Anna Grudziń-
ska, przybyła z Wołynia dla odczytania swe-
go referatu: „Rysunek u dzieci.“

Już przed laty 90-ciu prof. Cork w Lon-
dynie chciał zwrócić uwagę pedagogów na
ten ważny przyczynek do badań nad dziec-
kiem, jakim są jego rysunki.

Niestety, Cork wyrósł nad swoją epokę, —
niechęciano uznać jego badań — dopiero w osta-
tnich czasach, psychologowie amerykańscy,
angielscy i włoscy zwracać zaczęli baczną
uwagę na rysunki dzieci i wyprowadzać z nich
pewne wnioski. Pedagog amerykański Lin-
gens dzieli rysunki dziecięce na: nerwowe,
niezdolne, symetryczne — zdolne. Dziecko ner-
wowe rysuje źle i szybko, niezdolne wolno,
porządnie, lecz niepodobnie; przyszłość arty-
styczną wróżyć można dzieciom, które rysują
symetrycznie. Dziecko zwykle odtwarza, co
widzi. Wiejskie rysuje swą wioskę, miejskie
tramwaj, kamienice i t. p., bogate zwykle pa-
nów z cygarem, lub panie w długich sukniach,
dziewczynki rysują lalki, zwierzęta i rośliny,
chłopcy konie i t. p. i t. p. Najrozmaitsze
okazy tych rysunków można było podczas
odczytu p. Grudzińskiej oglądać, co też czy-
niono skwapliwie, podziwiając ogromny ich
zbiór.

Kronika działalności kobiecej.

— W ubiegłym tygodniu w Komorowie odbył się uroczysty akt otwarcia nowej uczelni, założonej przez siostry niepokalanki z Galicyi.

Dwór w Komorowie, przerobiony odpowiednio do dzisiejszych wymagań, na początek jest wystarczający.

Na akt otwarcia uczelni podażyło z Warszawy kilkunastu kapłanów, oprócz przybyłych z okolic.

Akt otwarcia odprawił ks. kanonik Aleksander Kakowski, regens seminaryum warszawskiego.

Siostr jest ośmnaście, oprócz pomocnic.

— Warszawianka, p. Stefania Kryńska, ukończyła z odznaczeniem wydział filozoficzny uniwersytetu w Bernie i otrzymała tytuł doktora filozofii.

Z. S.

Chwila bieżąca.

— Wybory pełnomocników z kury robotniczej w Warszawie, jak donosi „Agencja Peters.,” odbyły się w 89-tych fabrykach, wybrano 80-tych wyborców: 18-tych narodowców, 38-tych lewych i 33-tych bezpartyjnych.

— Z rozporządzenia naczelnika kraju miasto Łódź i powiaty łódzki i łaski zostały wykluczone z pod zarządu gubernatora piotrkowskiego i oddane pod zarząd general-gubernatora kaliskiego, general-majora Kaznakowa.

— W Łodzi odbyła się narada fabrykantów w sprawie reorganizacji policji. Fabrykanci zgodzili się wypłacić w ciągu jednego roku 482,700 rubli na powiększenie policji do tysiąca osób. Nadto na złożenie 200,000 rubli na umundurowanie i uzbrojenie policji, oraz 50,000 na utworzenie oddziału detektywów. Obecny na zebraniu generał Uthof, obiecał wyjednać zatwierdzenie uchwały w ciągu trzech tygodni.

— Towarzystwo akcyjne M. Silbersteina postanowiło zlikwidować fabrykę, w której wyrabiano cienkie tkapiny, wchodzące w zakres konfekcji damskiej, przedziałnia zaś wełny czesankowej w Dąbrówce i przedziałnia bawełny będą nadal czynne.

— W Łodzi zaresztowano 151 członków bandy rabusiów, którzy odłączyli się od P. P. S. Na czele bandy znajdował się człowiek, który ukończył szkołę techniczną, niejaki Kumer.

— Dnia 28-go z. m. o godzinie 6-iej rano rozstrzelano w Łodzi siedmiu robotników i jedną robotnicę z fabryki M. Silbersteina, za udział w zabójstwie M. Silbersteina. W nocy dnia poprzedniego przybył do więzienia ks. Bretszneider i pastor Manitius dla udzielenia pociechy religijnej. Wyrok pod sądni przyjęli z płaczem. Duchowni pozostali ze skazanymi do ostatniej chwili.

— Wśród wyższej arystokracji petersburskiej organizuje się „Kółko ochrony idei ruwnoprawienia narodów, zaludniających Rosję.” Myśl wiele szlachetna, oby tylko wydać mogła owoce.

— W Rydze wydano 22 wyroki śmierci na biorących udział w powstaniu.

— W pobliżu miasta Łucka zatrzymano wóz, w którym ukryta była broń, jako to: brauningi, części bomb i inne przyrządy wybuchowe.

— Straszne rozruchy włościańskie przeciw panom srożą się na Podolu. Napady na dwory, folwarki i stodoły, lasy płoną, ciągle rabunki. Niema dnia, ani nocy spokojnej.

— W Krakowie aresztowano Annę Krachelską, obecnie zamężną Dobrodziecką, pod zarzutem brania udziału w zamachu na general-gubernatora warszawskiego, Skaloną, w Sierpniu roku zeszłego przy ulicy Natolińskiej. Wanda Dobrodziecka jakoby przyznała się do czynnego udziału w tym zamachu.

— Z Poznania nadeszła straszna wiadomość, iż dwoje

W Polsce zapoczątkował zajęcie się rysunkiem dzieci prof. Dawid i na zjeździe przyrodniczo-lekarskim we Lwowie p. Olszewski. Czego jednak nie opowiedziała prelegentka, to badań własnych, a bardzo długo, cierpliwie, z ogromnym zasobem psychologicznej wiedzy pracować musiała p. Grudzińska, aby dojść do takich rezultatów. Jej referat był prawdziwą rewelacją, że tyle zrobiono już u nas w tym kierunku i że mamy taką jak ona siłę, której powinszować można Towarzystwu.

Ponieważ d-r Władysław Chodecki nieprzyjechał i nie mógł odbyć się trzeci punkt programu, odczyt: „O samobójstwach w wieku szkolnym,” przeto zamiast referatu wywiązała się dyskusja. Znany lekarz-wychowawca d-r Gawroński, mówił o rysunkach dzieci anormalnych umysłowo i debatował z poprzednią prelegentką nad sposobem badania i porównywania rysunków wielkiej liczby dzieci, np. w ochronach; o zaprowadzeniu w szkołach praktykowanego gdzieindziej zwyczaju, aby dzieci ilustrowały rysunkami opowiadane im powiastki i t. p.

D-r Margulies z Łodzi odczytał kwestyonaryusz w sprawach szkolnych, który Towarzystwo postanowiło opracować. Na zakończenie rozdała obecnym swój kwestyonaryusz p. A. Szcówna.

Niesłychanie pożądanym byłoby, aby rodzice jaknajliczniej zapisywali się do Towarzystwa. Psychologia, to dziedzina bardzo mało u nas szerszemu ogółowi znana, z odczytami i zebrania Towarzystwa badań nad dziećmi zapoznają w sposób szczegółowy, poważny, a bardzo jasny i przystępny z wynikiem ostatnich badań w tej dziedzinie wiedzy, nie tylko dla nauczycieli, lecz i dla rodziców niezbednej.

N. J.

Towarzystwo Kursów Naukowych.

Wyższa uczelnia istniejąca w Warszawie pod nazwą Towarzystwa Kursów Naukowych, rozpoczęła drugi rok swej działalności.

Kursów tych nie należy mieszać, jak się to często zdarza, z innymi, powstałymi w ostatnich latach, instytucjami naukowymi, które noszą niezupełnie właściwe nazwy „Uniwersytetu ludowego” i „Uniwersytetu do wszystkich,” gdyż instytucje te nie są uniwersytekami w ogólnie przyjętym znaczeniu tego wyrazu, lecz mają na celu krzewienie oświaty w szerokich warstwach ludowych. Tymczasem Kursy Naukowe uprawiają wyższą wiedzę i wykłady przedmiotów tam udzielanych stoją na poziomie wykładów uniwersyteckich i politechnicznych.

W obecnym swoim zakresie Kursy Naukowe składają się z czterech sekcji (wydziałów): matematyczno-fizycznej, humanistycznej (historyczno-filozoficznej), technicznej i rolniczej, z których każda jest pod względem naukowym zupełnie samodzielna, a tylko zarząd gospodarczy jest wspólny dla całej instytucji. Zarząd ten mieści się w gmachu Stowarzyszenia Techników (Włodzimierska 3-5), gdzie znajduje się kancelarya Kursów, przyjmująca zapisy słuchaczy.

Wykłady we wszystkich sekcjach rozpoczęła się w dniu 1-ym b. m.

dzieci: 15-to-letnia Wiktorya Staniszevska, córka robotnika, i również 15-to-letni chłopiec, Tyszyński, pozabawili się życia, aby nie uczęszczać nadal do szkoły pruskiej, do której zmuszano je, jako karę za strejk szkolny. Według ustawy, dzieci, które ukończyły lat 14, są już zwolnione od przymusowej nauki. Gdy za karę nie zostały zwolnione na Wielkanoc, spodziewali się ukończenia terminu na św. Michał. Gdy i ta nadzieja je zawiodła, woleli śmierć, niż szkołę pruską. Jak straszne skutki przemocy i bezprawia w państwie, które się chlubi ze swojej kultury!

— Prześladowania Polaków w Prusach przyjmują coraz ostrzejsze rozmiary. Za popieranie nauki religii w języku polskim i przeczytanie z ambony kilku ustępów z odezwy księży dekanatu Lubawskiego, sąd w Starogrodzie skazał ks. proboszcza Olszewskiego na półtora roku więzienia.

— W Brodnicy w Prusach Zachodnich, prezes sądu w Kwidzynie oświadczył rejentowi Wyszyńskiemu, iż powinien przy wyborach głosować na Niemca. P. Wyszyński nie chciał postępować wbrew sumieniu i przekonaniom, udał się ze skargą do ministra. Minister jednak nie zniósł powyższego rozporządzenia, przeto p. Wyszyński był zmuszony złożyć rejenturę.

— Była królowa saska (hr. Montignoso), poślubiła pianistę Tosellego. Prawdopodobnie najmłodsza córka hrabiny, która chowała się przy niej, zostanie jej odebrana przez dwór saski.

— Jedną z najskrajniejszych socjalistek i masonek włoskich jest to Polka, panna Marya Rygierówna, córka słynnego rzeźbiarza i autora pomnika Mickiewicza w Krakowie. W Medyolanie w Lipcu r. b. urządziła demonstrację przeciwko arcybiskupowi Medyolanu, gdzie stała na czele kilkuset młodych robotników w dniu 21-ym Lipca wieczorem, którzy rzucali kamieniami, wybijali szyby, wrzeszczeli i wydawali rozmaite okrzyki. Nawet po dobieciu szabiel przez policję dla rozproszenia tłumu, wódz ich, Marya Rygierówna, nie ustąpiła z placu, aż ją uwięziono.

— W Ciechanowie Towarzystwo Kultury Polskiej otworzyło dom ludowy. Jest to pierwszy dom ludowy na prowincyi, tak potrzebny dla rozwoju naszej kultury.

— W Mainau dnia 28-go z. m. zakończył życie Fryderyk Wilhelm, wielki książę badeniński.

Od Administracji.

Dla całorocznych prenumeratorów „Bluszczu,” którzy wnieśli rubli 2 za 20 tomów „Książnicy,” dołącza się tom 11-ty („Książnicy” 13-ty), zawierający pracę oryginalną Brunona Winawera, p. t.: „Notatnik Szymona de Geldern.”

Treść numeru:

Długi społeczne, przez Zofię Seidlerową. — Bez celu, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Z doby obecnej, przez Stefana Gorskiego. — Z niedrukowanych poezyi Karola Szajnochy: Żeglarz. — Organizacja i taktyka ruchu kobiecego u nas, referat J. Okszy (dokończenie). — Francuz o poezyi polskiej, przez T. Prażmowską (dokończenie). — Z lata, przez Józefową Kotarbińską. — Dlaczego? (wiersz), przez Adelę Koneczną. — Giuseppe Garibaldi, kartki z pamiętnika (ciąg dalszy). — Praca kulturalna kobiet rosyjskich, przez J. W. (ciąg dalszy). — Z listów do „Bluszcza:” ze Lwowa, przez L. Em. — Warunki pracy zarobkowej kobiet u nas, przez H. K. — Doroczna wystawa Szkoły Sztuk pięknych, przez Z. Skorobohatą-Stankiewiczównę. — Towarzystwa badań nad dziećmi, przez N. J. — Towarzystwo Kursów Naukowych. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Chwila bieżąca. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 18-ty powieści Piotra Loti'ego z życia współczesnych haremów tureckich, p. t. „Rozczarowane,” w przekładzie M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami. — Przepisy gospodarskie, oraz Dodatek z krojami.